

Nr 3 (90)

CZASOPISMO LITERACKIE

2022



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 3 (90) 2022

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Sekretarz redakcji: Danuta Zielińska

95 727 70 70 / d.zielinska@wimbp.gorzow.pl

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Turska, Danuta Zielińska

Druk: Sitodruk, poligrafia, reklama. Jan Kłosiński

ul. Kostrzyńska 28

66-400 Gorzów Wielkopolski

W numerze i na okładce prezentujemy fotografie Krystyny Zwolskiej

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

PROWINCJA

Mam w dupie małe miasteczka

Mam w dupie małe miasteczka

Mam w dupie małe miasteczka

– pisał poeta Andrzej Bursa w wierszu *Sobota*. I w zasadzie wcale mu się nie dziwię. W jego wieku też trenowałam taki wdupizm. Bo jak inaczej, skoro świat cały stoi przed człowiekiem otworem; czuje, że może wszystko, wszędzie i w każdej chwili! Do tego *tyle wódki, tyle piwa, tyle słów wymyślonych, wypowiedzianych, napisanych gdzieś w kulisach tego rajy*. Tyle możliwości. A tu? Miasteczko... Nie-wesołe Miasteczko podkolorowane ironią, kpina i szyderstwem. Z tą jego przasną ciasnotą i duszną atmosferą. Z tymi sąsiadkami zwisającymi z okien po pas, byle tylko zobaczyć i usłyszeć jak najwięcej. Z tymi dozorcami, usztywnionymi w uprzejmy donosikiem do komitetu. Z tymi – podstawiającymi nogę – fałszywymi przyjaciółmi, dystygowanymi emerytowanymi nauczycielkami, które tylko: Dzień dobry; Do widzenia; Wypraszam sobie takie uwagi i Ach, ta dzisiejsza młodość. Z tą beznadziejną przewidywalnością losu, od której uratować może tylko ucieczka...

A potem jedzie człowiek w wielki świat. Na wszystkie jego krańce. Nażera się zachwytem. Zachłystuje perspektywami.

Aż przychodzi taki moment, kiedy zaczyna się człowiek zastanawiać, czy to on wlecze swoje Miasteczko w te wszystkie egzotyczne destynacje, czy może tam też trafia na podobne Miasteczka, które ktoś ma w dupie, *bo właśnie wyzwala się od zbędnego nadmiaru energii, w którą wyposażyła go młodość...*

I przychodzi czas, kiedy człowiek zaczyna tęsknić. Nie, nie za wiszącą po pas sąsiadką czy dozorcą zamiatającym cuchnące szczyną bramy. Zaczyna tęsknić za miejscem, w którym SIĘ STAWAŁ. W które wrosły jego korzenie. To pierwszy moment, kiedy zaczyna się człowiek ze swoim Miasteczkiem przeproszać. Potem się w nim mości. Zaczyna z niego czerpać. Dostrzega drzemiącą w nim moc.

Ale do tego potrzeba dojrzałości. A jeszcze bardziej – trzeba wyzbyć się kompleksu Miasteczka jako synonimu ciemnogrodu, prowincji czy zaścianka (inaczej na zawsze pozostanie prowincjuszem dotkniętym kompleksem podrzędności i niedowartościowania).

Bo Miasteczko to jest Świat. Samo jego centrum. Źródło mocy i miejsce konstituowania się tożsamości. Tu wszystko albo nic – w zależności od tego, czy chcemy z niego czerpać, czy się go po wielokroć wyrzec...

Autorzy w tym numerze Pegaza odmieniają prowincję (te swoje emocjonalne Miasteczka) przez wszystkie przypadki, wypadki i stany. Przede wszystkim jednak – moszcząc się w przyjaznych ramionach Antajosa – przyglądają się jej z ciekawością wędrowca, który wyruszył w najbardziej fascynującą podróż – w głąb siebie.

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna Pegaza

Tomasz Korbanek

Podwórko

Szpalerem cieni
włóczę się z psem,
bujne gałęzie płaczącej wierzby
przywodzą na myśl
warkocz dziewcząt ze skakankami,
chłopca w listowjach
szukającego
jeszcze przedwczoraj
wyspy na mapie
wszechoceanu.
Szpalerem cieni
wracam do domu.



Dyptyk w pastelach snu

I

Kwiaty na kotdrach pachną krochmalem,
 tańczy żyrandol
 w soplach kryształów,
 krewni z monideł
 śmieją się do mnie
 retuszowanym
 pąsem rumieńców.
 Biegam po izbie z łapką na muchy,
 tropię pająki
 zastawiające
 sidła pajęczyn za kotarami;
 wahadło wspomnień
 utyka w martwym
 punkcie na osi.

II

Siedzę na ławce w ogrodzie babci,
 pod sztachetami
 fioletowieją
 korony malw,
 za łanem żyta
 tory donikąd, okna pociągów
 przecierających
 szlak wyobraźni,
 obok mnie sapie
 owczarek Fido, kocur sąsiadów
 tarmosi zdobycz w gęstwiach bzu.
 Domykam furtkę na haczyk z brązu,
 ekran księżycy
 zachodzi mgłą.

TOMASZ KORBANEK: gorzowianin, poeta. Debiutował w 2010 r. w antologii „Słowa rodzą wiersz”. Debiut książkowy to tomik „Krajobraz z brzozą” wydany przez ZLP w „Portfelu Poetów Okrąglego Stołu”.

W OBJĘCIACH LOKALNOŚCI



Z PROF. MAŁGORZATĄ MIKOŁAJCZAK, AUTORKĄ PODRĘCZNIKA „RAMIONA ANTAJOSA. Z TEORII I HISTORII REGIONALIZMU LITERACKIEGO W POLSCE”, ROZMAWIA AGNIESZKA MOSKALUK.

Mit Anteusza mówi o sile, która bierze się z kontaktu z ziemią, a równocześnie wyraża odwieczną, archetypową potrzebę zakorzenienia, posiadania swojego miejsca na ziemi. Jego związek z regionalizmem wydaje się tak oczywisty, że trudno ustalić, kto pierwszy uznał ten mit za „regionalistyczny”, i za kim posłużył się tym określeniem Tadeusz Łopalewski, gdy [...] pisał, że „mit o Anteuszu, mit regionalizmu powtarza się w dziejach każdej większej indywidualności twórczej” – pisze we wstępie do swojej książki prof. Małgorzata Mikołajczak.

Pani profesor, rozmawiamy dziś o regionalizmie literackim, o literaturze regionalnej, czyli w sumie o czym?

O takiej literaturze, która często postrzegana jest jako wtórna, drugorzędna, gorsza, a jednak ma swoją naprawdę ogromną wartość, zwłaszcza dla mieszkańców miejsca, w którym jest uprawiana, ponieważ opowiada o nich – o ich historii, o ich tradycjach, obyczajach, o tym, co kiedyś działo się w danym miejscu. Dziś obserwujemy żywe zainteresowanie literaturą regionalną, regionalizmem, bo okazuje się, że często jest on kluczem do odpowiedzi na pytanie o tożsamość, o naszą pamięć, o to, co zapominamy i wypieramy, a co chcemy pamiętać. To kategoria, która dziś przeżywa swój renesans. O tym właśnie piszę w swojej książce, pokazując, jak to zagadnienie jest ważne.

Wydaje mi się to szczególnie istotne tu, w Polsce zachodniej, gdzie większość naszych przodków (dziadków, rodziców) w wyniku wojny i powojennych repatriacji, przesiedleń, wędrowek ludów zmuszona była do oderwania się od swojej małej ojczyzny i rodzinnych korzeni, by tu zacząć wszystko od nowa. Lubię powtarzać, że tu nikt nie jest stąd, dlatego każdy może się czuć jak u siebie, dodając do tego kulturowego tygła także swoją kulturę, swoje dziedzictwo i swoje doświadczenia. Zapuszczamy nowe korzenie, które jednak wciąż są jeszcze dość niewielkie. W tym kontekście literatura regionu i w ogóle regionalizm, nabierają szczególnego znaczenia przy wzmacnianiu lokalnej tożsamości.

Tak! To całkiem inna perspektywa regionalistyczna, która musi uwzględnić także perspektywę wcześniejszą – niemiecką. Dziś już – na szczęście – możemy o tym mówić otwarcie. Możemy mówić o takiej specyficznej literaturze – literaturze, która powstaje na pograniczu, na styku kultur – która musi się odwoływać w metaforze palimpsestu do warstw wcześniejszych, które tutaj były. I rzeczywiście, tak się

dzisiaj dzieje. Ożywają tradycje, próbujemy tym miejscom nadawać pewną nową wartość, która już nie jest oparta tylko o mit piastowski, że oto budujemy tu Polskę. Tworzymy po prostu pewien region, który ma swoją własną tradycję i ta tradycja po części jest też niemiecka i musimy to przyjąć.

Mamy tu do czynienia ze zjawiskami interkulturowymi, transkulturowymi, których nie ma w centralnych regionach Polski, które są bardziej homogeniczne kulturowo czy tożsamościowo. W mojej książce m.in. piszę o tym, jak zmieniało się postrzeganie Niemca w literaturze lubuskiej. I to jest taki wskaźnik...

Naszej przemiany?

Tak! Tego, co działo się w regionie. Jak na początku próbowaliśmy się odcinać, pokazywać, że Niemiec jest najeźdźcą. I jak to się z biegiem czasu zmieniało. Obserwując przemiany literatury lubuskiej, możemy mówić też o tym, jak my sami się zmienialiśmy. Jak nasze myślenie o miejscu ewoluowało. Dziś, np. w Zielonej Górze, powstają książki dotyczące tradycji winiarskiej. A o niej trudno mówić bez odwoływania się do tego, co działo się tu przez 1945 rokiem. To są bardzo ciekawe tematy...

Dzięki takiemu myśleniu literatura regionu traci łatką gorszej, mniej wartościowej...

O tak! Przecież nasza noblistka Olga Tokarczuk jest tak naprawdę pisarką regionalną! Przecież ona pisze o regionie. Zakorzenia swoje narracje, opowieści, fabuły w konkretnym miejscu – właśnie regionalnym, peryferyjnym, który urasta do rangi centrum. I to właśnie jest bardzo ciekawa perspektywa!

Promocja książki prof. Małgorzaty Mikołajczak „Ramiona Antajosa. Z teorii i historii regionalizmu literackiego w Polsce” odbyła się 8 czerwca w Książnicy Herberta, w ramach cyklu Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie.

PROF. DR HAB. MAŁGORZATA MIKOŁAJCZAK – kierowniczka Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Komitetu Nauk o Literaturze PAN, autorka monografii poświęconych poezji Urszuli Kozioł i Zbigniewa Herberta, a także autorka i współredaktorka monografii dotyczących literackiego regionalizmu. W l. 2013-2017 kierowała międzyuczelnianym zespołem realizującym projekt Regionalizm w badaniach literackich: tradycja i nowe orientacje. Jest redaktorką naukową serii Nowy regionalizm w badaniach literackich.

AGNIESZKA KOPACZYŃSKA-MOSKALUK: dziennikarka, edukatorka, pomysłodawczyni Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego im. Kazimierza Furmana FurmanKa. Wydała trzy książki poetyckie: „Ze słońcem w kieszeni” (1992), „Codziennie” (1997) i „Kochany” (2009) oraz książkę kulturalno-kulinarną „Landsberg/Gorzów – miejsce pamięci” (2015). Od 2018 r. pracuje z dziećmi, czego efektem jest pięć książek z bajkami, scenariusze do przedstawień oraz słuchowiska radiowe. Od 2021 r. prezeska gorzowskiego Oddziału ZLP.

REGIONALIZM 2.0 I CYFROWI REGIONALIŚCI, CZYLI MAŁE OJCZYZNY W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH

Krzysztof Wasilewski

Internet staje się narzędziem do prowadzenia różnego rodzaju aktywności społecznej. Wiedzą o tym politycy, celebryci i przedsiębiorcy. Coraz częściej też internet, a w zasadzie media społecznościowe, to miejsce, w którym tworzy się powszechne wyobrażenie o danym terytorium – mieście, wiosce, ulicy, a nawet budynku. Uczestnicy tego procesu pochodzą z różnych grup społecznych i zawodowych. Łączy ich natomiast zamiłowanie do dziejów, kultury i tradycji ich najbliższej okolicy, którą najczęściej nazywają własną „małą ojczyzną”. Cyfrowi regionaliści, bo tak ich można określić, na stałe wpisali się już w krajobraz użytkowników platform społecznościowych.

Region i regionalizm to dwa pojęcia z zakresu współczesnych nauk społecznych i humanistyki, które wywołują szczególne emocje, nie tylko u badaczy. Nic w tym dziwnego, zważywszy, że oba odnoszą się do tego, co dla wielu ludzi często najbliższe – rodzinnego domu lub okolicy oraz związanych z nimi wspomnień i emocji. Literaturoznawca i prozaik, a zarazem aktywny regionalista związany z Opolem i Pomorzem Środkowym, Zbigniew Zielonka przyrównywał region i regionalizm wręcz do „korzeni i źródeł” człowieka. Jak pisał obrazowo: „Bez korzeni nic nie wyrasta, bez źródeł nic, co wyrosło, nie rozwija się. Spotykamy takie wyschnięte źródła, gdzie nic się nie zieleni i nie owocuje, zwłaszcza częste one były na Ziemiach zwanych Odzyskanymi. Region(alizm) to tradycja”.

Jeszcze do niedawna wydawało się, że w konfrontacji z siłami globalizacji lokalna historia i tradycja stracą na znaczeniu, pozostając co najwyżej interesującym dla niewielkiego grona entuzjastów folklorem. Dynamiczny rozwój technologii, postępująca integracja polityczna (nie tylko w Europie), a w końcu także wykształcenie się społeczeństwa cyfrowego sprawiły, że u progu XXI w. określenie świata jako „globalnej wioski” zaczęto odbierać nie jako metaforę, a określenie stanu rzeczywistego. Tymczasem stało się inaczej. Wśród wielu czynników, które o tym zadecydowały, zamachy terrorystyczne z 11 września 2001 r., globalny kryzys gospodarczy siedem lat później oraz wybuch pandemii COVID-19 na przełomie 2019 i 2020 r., a obecnie także rosyjska agresja w Ukrainie, uświadomiły wszystkim wyczerpanie się projektu globalizacji w jego neoliberalnej formie.

Świat u progu trzeciej dekady XXI w. charakteryzuje zatem nie homogenizacja kultury, lecz jej różnorodność; nie globalne społeczeństwo, lecz wielość tożsamości; nie integracja, lecz coraz silniejsze procesy dezintegracyjne. W różnych częściach ziemskiego globu do głosu dochodzą ugrupowania separatystyczne,

domagające się uznania własnej odrębności i podmiotowości – politycznej, etnicznej, kulturowej itp. W pesymistycznym tonie zapowiadał obecną dekadę m.in. brytyjski „The Economist”, pisząc o współczesnej potędze tożsamości, która z jednej strony prowadzi do wzrostu oddolnych tendencji separatystycznych, z drugiej zaś do powrotu do prowadzenia nacjonalistycznej polityki przez państwa narodowe. Renesans tożsamości w odniesieniu do własnej grupy rasowej, etnicznej czy językowej wpływa na postrzeganie siebie jako członków jednej wspólnoty i coraz częściej prowadzi do zakwestionowania samej idei narodu.

Powyższe przekształcenia nie pozostają bez wpływu na regionalizm rozumiany nie jako ruch odśrodkowy, lecz przede wszystkim jako popularyzacja dziejów, tradycji i kultury najbliższej okolicy. Jest to zatem działanie, w wyniku którego określona przestrzeń geograficzna nabiera dla jej mieszkańców związków emocjonalnych, by w końcu stać się ich „małą ojczyzną”. Zarazem też migracja do cyberprzestrzeni, w połączeniu z zachodzącymi trendami społecznymi i politycznymi, powoduje, że współczesny regionalizm charakteryzuje się pewnymi wyjątkowymi właściwościami, obcymi jego wcześniejszym formom. Dzisiejszy regionalizm, jak nigdy wcześniej, stał się bowiem ruchem masowym i sprawczym, zdolnym do wymuszenia zmian na poziomie lokalnym i regionalnym. Nadal zatem regionalizm to poszukiwanie „korzeni i źródeł”, lecz pielęgnowanych już przy użyciu nowoczesnych narzędzi komunikacji, jakimi są m.in. platformy społecznościowe.

Dzisiejszy regionalizm wymaga nośników dostosowanych do jego specyfiki. O ile zatem wcześniej idea małej ojczyzny była propagowana głównie za pośrednictwem prasy drukowanej, albumów lub okolicznościowych odczytów, o tyle obecnie główną przestrzenią aktywności regionalistycznej staje się internet. Trend ten był i jest szczególnie widoczny w dobie pandemii COVID-19, choć już wcześniej z powodzeniem funkcjonowały w internecie różnego rodzaju inicjatywy regionalistyczne. Działając na rzecz najbliższej okolicy, można je utożsamiać z tzw. mediami hiperlokalnymi.

Powstanie i funkcjonowanie mediów hiperlokalnych jest nierozdzielnie związane z rozwojem internetu, zwłaszcza zaś wykształceniem się Web 2.0. Często określa się je mianem mediów „autentycznie lokalnych”, wiążą się one bowiem przede wszystkim z kategorią wspólnoty. Z jednej więc strony mają one aspekt terytorialny – opisują „miasto, wieś czy też niedookreśloną okolicę” – zaś z drugiej poprzez swoją treść koncentrują się wokół samej społeczności. Przymiotnik „hiperlokalne” określa zatem zarówno zakres terytorialny oddziaływania tego typu mediów, jak i ich interaktywny charakter, pozwalający na komunikację między twórcami przekazu a pozostałymi użytkownikami. W rezultacie granica między nadawcami komunikatów a ich odbiorcami zaciera się. Często są to zatem profile i strony w mediach społecznościowych, dzięki którym tematyka regionalistyczna może uzyskiwać o wiele większy zasięg i wpływ niż tradycyjna prasa czy spotkania okolicznościowe.



Nie sposób scharakteryzować regionalistów jednym zdaniem. We wstępie do książki poświęconej tej grupie jej wytrwały badacz Damian Kasprzyk opisuje ją w następujący sposób: „Merytoryczny obszar aktywności osób zasługujących na miano regionalistów jest szeroki i niemal nieograniczony – to nauka, edukacja, sztuka, ekologia, gospodarka, polityka... Także miejsca na mapie, gdzie realizują się regionaliści, różnią się od siebie nie tylko dziejami, charakterem, potencjałem, lecz również potrzebami, które dyktuje dynamika współczesnego świata”. Nie inaczej jest z cyfrowymi regionalistami. Ci różnią się między sobą tak, jak różnią się realizowane przez nich internetowe projekty. Inaczej widzą swoje role, inne stawiają sobie cele, do innego grona odbiorców kierują swoją aktywność.

Przynajmniej częściową odpowiedź na pytanie o to, kim są cyfrowi regionaliści, udzieliły badania ankietowe oraz wywiady przeprowadzone w latach 2020-2022. Wzięło w nich udział kilkadziesiąt osób z różnych części kraju, a nawet zagranicy. Wszak w cyberprzestrzeni miejsce zamieszkania przestaje mieć znaczenie. W badaniu mógł wziąć udział każdy, kto prowadził stronę internetową, blog lub administrował profil w mediach społecznościowych poświęcony lokalnej historii, kulturze i tradycji.

Zrealizowane badania ujawniły, że cyfrowy regionalizm, podobnie jak jego tradycyjna forma, pozostaje domeną mężczyźn. Zarazem jednak daje się zauważyć, że kobiety coraz śmielej włączają się w popularyzację „małej ojczyzny”, zaś ich internetowe inicjatywy regionalistyczne zdobywają rzesze odbiorców. Bez względu

na płec wśród przedstawicieli cyfrowego regionalizmu najliczniejszą grupę jego uczestników stanowią osoby w przedziale wiekowym 35-44 i 45-54 lat. Wykorzystaniem mediów społecznościowych w celu popularyzacji idei „małej ojczyzny” zajmują się przede wszystkim osoby o wykształceniu wyższym. Co ciekawe, to właśnie okres studiów w wielu przypadkach był formacyjnym, jeśli chodzi o pojawienie się zainteresowania lokalnymi dziejami, kulturą i tradycją. Warto także zwrócić uwagę na jedną z cech wyróżniających cyfrowy regionalizm, a mianowicie anonimowość. Autorzy poszczególnych stron, blogów czy profili regionalistycznych najczęściej pozostają w cieniu, ograniczając opublikowane informacje osobiste do niezbędnego minimum. Są oczywiście wyjątki, jak chociażby Maria Weronika Knoch, autorka popularnej strony internetowej, blogu i profilu pt. „Kurpianka w wielkim świecie”. Jak sama przyznaje: „Internet i komputer od początku były moimi podstawowymi narzędziami działalności regionalnej. Jak to się rozkręciło, to niemal naturalnie przyszło, że zaczęłam być rozpoznawalna”.

Naturalną przestrzenią dla działalności cyfrowych regionalistów jest Facebook. Na pytanie o powody wykorzystania właśnie tej platformy większość wskazała łatwość tworzenia profilu oraz możliwość dotarcia do szerokiego grona odbiorców. Dla nielicznych głównym argumentem za Facebookiem były niskie koszty działalności. Pojedyncze odpowiedzi wskazywały ponadto na brak innych możliwości popularyzacji małej ojczyzny, np. przez upadek prasy drukowanej czy też wolność wypowiedzi.

Dominacja Facebooka nie oznacza bynajmniej, aby cyfrowi regionaliści ograniczali swoją działalność popularyzatorską wyłącznie do tego serwisu czy też szerzej – do mediów społecznościowych. Większość z nich aktywnie angażuje się w wydawanie własnych publikacji, tj. książek, albumów itp., bierze udział w audycjach radiowych, programach telewizyjnych, czy też organizuje lokalne wycieczki i spacer. Mniej niż jedna trzecia angażuje się w działania stowarzyszeń, towarzystw oraz organizacji pozarządowych. Pozostałe zaś osoby biorą udział w promocji małej ojczyzny poprzez mniej sformalizowane grupy. Część z nich tworzona jest na bazie dotychczasowych znajomości, inne powstają w wyniku działalności internetowej. Cyberprzestrzeń odgrywa zatem w tym przypadku podwójną rolę, tj. tworzy przestrzeń do popularyzacji regionalizmu, a zarazem konstruuje sieci osób o podobnych zainteresowaniach i sposobie myślenia.

Dzięki aktywności cyfrowych regionalistów współczesny region i regionalizm są nierozłącznie związane z przepływem informacji. Wyznaczanie granic przestrzeni oraz jej właściwości, jak również konstruowanie związanej z nią wspólnoty ma charakter dyskursywny i odbywa się m.in. za pośrednictwem mediów społecznościowych. W rezultacie region można zatem rozumieć jako przestrzeń wyznaczoną przez praktyki komunikacyjne, których zasięg określa jej granice, zaś

przesyłane informacje konstruują jej pamięć, zwyczaje i wartości. W ten sposób regionem może być zarówno rzeczywisty obszar geograficzny i kulturowy, uformowany na przestrzeni wieków i lat, jak i terytorium wyobrażone, funkcjonujące jedynie w przestrzeni dyskursywnej, dowolnie kształtowanej przez uczestników medialnej dyskusji. W obu przypadkach o kluczowych cechach regionu decydują praktyki komunikacyjne. Ich świadome i aktywne wykorzystywanie na rzecz stworzenia tożsamości zbiorowej bądź też „ojczyzny ideologicznej” wpisuje się natomiast w medioznawcze rozumienie regionalizmu. Tak definiowany regionalizm może być realizowany zarówno przez oficjalnych i zorganizowanych aktorów lokalnej rzeczywistości, jak i przez osoby indywidualne, które dzięki rozwojowi nowych mediów współtworzą współczesną sferę publiczną.

Cyfrowy regionalizm – regionalizm 2.0 – to komunikacyjny fenomen doby społeczeństwa sieci. Jego powstanie i rosnące znaczenie dowodzą zapotrzebowania na lokalne wartości, tradycję i kulturę, które jeszcze do niedawna wydawały się skazane na marginalizację w konfrontacji z unifikacyjną siłą globalizacji. Tymczasem nie tylko nadal odgrywają one ważną rolę w konstruowaniu i umacnianiu tożsamości wspólnot, ale też stanowią ważny element całego systemu społeczno-politycznego. Z perspektywy medioznawczej cyfrowy regionalizm to zatem oddolna próba oddziaływania na ten system, realizowana przede wszystkim za pośrednictwem mediów hiperlokalnych. Mając powyższe na uwadze, nie wolno jednak zapominać, że w centrum cyfrowego regionalizmu pozostaje człowiek i jego potrzeby. Zmienił się jedynie sposób jego funkcjonowania, stając się coraz ściślej związanym z cyberprzestrzenią. Mimo bowiem głębokich przekształceń zarówno wewnątrz samego regionalizmu, jak i jego otoczenia, niezmienna pozostaje społeczna potrzeba identyfikacji się z najbliższą okolicą, która w wyniku oddziaływania regionalizmu staje się rzeczywistą „małą ojczyzną”.

Powyższy tekst składa się z wybranych – i częściowo zmodyfikowanych na potrzeby „Pegaza Lubuskiego” – fragmentów książki: K. Wasilewski, „Regionalizm 2.0. Media hiperlokalne i małe ojczyzny”, Wydawnictwo Naukowe Politechniki Koszalińskiej, Koszalin 2022.

KRZYSZTOF WASILEWSKI: doktor habilitowany nauk społecznych, medioznawca i politolog. Prorektor ds. kształcenia Politechniki Koszalińskiej; kierownik Katedry Studiów Regionalnych i Europejskich na Wydziale Humanistycznym PK; wcześniej związany z WiMBP w Gorzowie. Interesuje się nowymi mediami, humanistyką cyfrową, dyskursami medialnymi oraz polityką pamięci. Stypendysta m.in. Freie Universität w Berlinie, Cambridge University, University of Michigan – Ann Arbor, Narodowego Centrum Nauki oraz Ministerstwa Edukacji i Nauki.

Jolanta Karasińska

Na końcu świata

droga

prowadzi w wiadomym kierunku
zieleni lasów i kolorowych traw
przekłada się
na mniejsze nieszczęścia
i rozpromienione twarze

tutaj

nie można się zgubić
codziennosc
oświetlona swojskim księżycem
zasypia w ciszy
bez konieczności innego jutra

jesteś sobą
u siebie

Na wyciągnięcie ręki

zatopiony w ciszy jeziora
kołyszysz w fontannie
realne marzenia

nie jesteś anonimowy
pozdrawia cię każde drzewo
trawnik krawężnik zakręt

swojsko
bezpiecznie i po domowemu

oddychasz z ulgą

to się zadziało
na nieokreślone
bliżej jutro



JOLANTA KARASIŃSKA: barlinecka poetka, autorka utworów dla dzieci i dorosłych, tekstów scenicznych, scenariuszy kabaretowych. Wydała cztery tomiki poezji dla dzieci oraz trzy zbiory poezji dla dorosłych: „Skrawek nieba” (2011), „Jeszcze wczoraj tańczyłam z gwiazdami” (2013), „Poza horyzontem ludzkich spraw” (2020). Od kilku lat należy do grupy malarskiej W Kręgu Sztuki, a od 2018 r. jest członkinią poznańskiego Oddziału ZLP. W 2019 r. za działalność artystyczną i promocję Barlinka otrzymała tytuł Ambasadora Barlinka.

Miasteczko z Biskupem

Z. Marek Piechocki

Miasteczko to nie było siedzibą Biskupa. Jednakże osobistość taka zamieszkiwała na peryferiach, w tzw. dzielnicy willowej. Były to właściwie stare domy o nijakiej architekturze, budowane kilkadziesiąt lat przed moim przyjściem na świat przez ówczesnych członków elity miasta. Niektóre z nich wyróżniały się oplatającymi je winoroślami, które zarosły nawet okna, przydając domostwom tajemniczości. Dawnej świetności broniły, rozsypujące się teraz, ozdobne gzymsy, tralki balkonów, zmurszałe figurki pośrodku zaniedbanych gazonów. Dom Biskupa nie wyróżniał się niczym – może niezbyt czystymi szybami okien, do których mycia z powodu swojego skąpstwa rzadko wynajmował – skądinąd chętne do takich prac – miejscowe kobiety. W głębi posesji stał niewielki domek. Mieszkał w nim mężczyzna przez mieszkańców miasteczka nazywany zakrystianinem, choć z tą funkcją niewiele miał wspólnego. Pełnił przy swoim panu wszelkie możliwe inne: od zakupów żywności po gotowanie, sprzątanie, drobne naprawy popadającego w ruinę domostwa. Najbardziej zaszczytną jednak i tą, która sprawiała mu najwięcej radości, było kierowanie biskupim samochodem. Był to amerykański krążownik o nieokreślonym roczniku. Przeróbki, których dokonał zakrystianin, skutecznie uniemożliwiały rozpoznanie marki. Zamocowane na nadwoziu różne znaki firm, dodatkowe spojlerki, lampy i ozdoby mogły zmylić nawet znawcę marek samochodów. W mniemaniu szofera hierarchy te wszystkie dodatki dodawały splendoru i świadczyły dobrze o jego zdolnościach manualnych. Widomą tego oznaką była jego dumna mina i postawa podczas kierowania samochodem. Wyjeżdżano nim niezwykle rzadko. Tylko z okazji wielkich świąt katolickich. Przejazd przez Miasteczko, zawsze tą samą trasą, trwał kilkanaście minut. Pojazd Biskupa sunął majestatycznie. On w swoich purpurach siedział na tylnym siedzeniu z prawej strony. Szyby okien były przyciemnione, więc twarzy Jego Eminencji nie można było zobaczyć. Czasami uchylał nieco okno i wystawiał na zewnątrz swoją upierścienioną dłoń. Była to pulchna biała łapka z wypielęgnowanymi paznokciami, kilkoma lekko brązowymi plamkami wątrobowymi. Zwisała bezwładnie na zewnątrz szyby jak martwa. Co jakiś czas wykonywał nią jakieś minimalne ruchy, które co bardziej spostrzegawczy czytali jako znak krzyża błogostawiący idących.

Jeśli pozwalała na to szybkość samochodu, z kolorowych tłumów, które poboczem zmierzały na centralne uroczystości, wyrwały się co bardziej pobożne kobiety i całowały nabożnie biskupią prawicę. Wehikuł jechał bardzo wolno, torując sobie drogę wśród przyszłych procesjantów, ale i tak niektóre z kobiet pozostawały za nim z dzióbkami ust jak do całowania i wyciągniętymi rękoma. W moich czasach studenckich nie bywałem zbyt często w rodzinnym Miasteczku.

Wiadomość o odejściu z tego świata Jego Eminencji nadeszła tuż po sesji wiosennej i postanowiłem wziąć udział w ostatniej ziemskiej podróży zmarłego.

Pogrzeb był mniej okazały, niż się spodziewałem. Kilku księży, jeden biskup. Dopisali tylko mieszkańcy Miasteczka. Trumnę z doczesnymi szczątkami duchownej osoby nieśli ci, którzy w święto Bożego Ciała zapewniali cień baldachimu. Nie mogli widzieć, jak spod wieka wysunęła się biała pulchna łapka, już bez sygnetu na palcu. A było to w miejscu, gdzie tłumy żegnających dostojnika były najgęstsze, a szloch kobiet najbardziej przejmujący.

Lato 2000 roku, ul. Miodowa w Warszawie

Z. MAREK PIECHOCKI: poeta i prozaik. Laureat Nagrody im. Janusza Słowika (2007) i Motyla – Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa (2012). W 1998 r. wydał pierwszy tomik wierszy „Zaistniałem”, a jego „Sytuacje” (2009) były nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2010 r. ukazały się „Listy hipotetyczne”. W 2012 r. odczytał i wydał „Drzwi otwarte na nicość” – częściowo zniszczone rękopisy wierszy żydowskiej poetki Melanii Fogelbaum, znalezione po wojnie w łódzkim getcie. Rok później ukazał się zbiór próz poetyckich „Powrót Melanii Fogelbaum”. W 2017 r. wydał tomik wierszy „Przedstawienia”. Członek ZLP.



ŚWIĄTYNIA OŁTARZA I SCENY

Jerzy Hajduga

Taką świątynią jest kościół pw. Przemienienia Pańskiego w Drezdenku. U góry ołtarz, w podziemiach scena. Od siedmiu lat scena Teatru Kottłownia – z gołymi cegłami i widocznymi rurami po wielkim piecu, który ogrzewał kościół. Łście krakowski klimat moich wspomnień, nawet z dziecięcych lat.

Pamiętam, kiedy sam po raz pierwszy zbudowałem w pokoju ołtarz i zacząłem się bawić w księdza. Wtedy dużo musiałem mieć na sobie szat, koniecznie powłóczyстых. Brat był ministrantem, a schorowana babcia jedyną osobą, która na to patrzyła ze spokojem. Z czasem zacząłem nieśmiało śpiewać, wołałem jednak mówić wzruszająco kazania. W tym czasie brat siadał na łóżku przy nogach babci, która co jakiś czas sięgała po chusteczkę do ocierania też.

Gdy kończyłem swoje występy, napięcie w nas wszystkich powoli opadało, przeżykaliśmy ślinę i wycieraliśmy spocone z emocji dłonie. Brat nieśmiało chciał prosić o powtórzenie, ale zaraz babcia przywoływała go do porządku, że wystarczy raz dziennie.

Ten fragment zabaw z dzieciństwa często wraca do mnie. Gdy jestem tutaj z aktorami na scenie. I gdy jestem w kościele przy ołtarzu z ministrantem.

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta, ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: „Odpocząć od cudu” (2015), „Współbrzmienie” (2016), „Jeszcze” (2018), „Zatrzymać z czasu chwile” (2018), „Listy na stół” (2019) i „Uważaj na siebie” (2020). Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego „Ten pusty krzyż” wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.



GLIŚNIEŃSKIE ETIUDY

Ryszard Jasiński

Żuk

Bujanie w obłokach to turkusowa metoda na życie.

Podczas studiów nie mieliśmy z żoną dylematu: stanąć w kolejce po garnki czy po trzynomową „Historię filozofii” Władysława Tatarkiewicza. W rezultacie mieliśmy górę książek. Obiady jedliśmy w uniwersyteckiej stołówce przy ul. Szewskiej. Błoczek kosztował 6 zł. Dwa obiady (dla żony i dla mnie) to 12 zł. Tyle też był wart tomik z wierszami. Proszę, oto dowód: Jan Kurowicki, „Sytuacje”, Ossolineum 1977, cena 12 zł. Efekt oczywisty: kupiliśmy kilkaset tomików z wierszami (mamy je do dziś), a zrezygnowaliśmy z obiadów. Jadło się zupeć. W stołówce stawiano na stole wagę, można było czerpać do syta. Z koszyczka chleb, także gratis. Drugie danie jednak wydawano na błoczek. Nad Odrą czytaliśmy wiersze Baudelaire’a, a piosenkę „July Morning” przyspiewywał nam Uriah Heep.

Uzyskaliśmy kredyt dla młodych małżeństw. Dobra rzecz, sto tysięcy na meble i takie tam lodówki, pralki, odkurzacze i tym podobne deficytowe dobra peerelowskiej gospodarki. Darmowe sto tysięcy (nie trzeba było spłacać, jeśli się przepracowało pięć lat). Oczywista. A my po prostu, najzwyczajniej – stojąc w kolejce w banku PKO przy placu Solnym, tuż przy okienku zrezygnowaliśmy z tak pięknego kredytu. To nie był błąd. Tak należało: wierzyć, że po to ma się dwie ręce, aby stanąć na nogach.

Foto: archiwum autora





Foto: archiwum autora

Skutek (niewzięcie darmowych stu tysięcy) pozytywny: bez trudności (brak mebli tudzież takich tam jakichś garów) przeprowadziliśmy się do Glisna. Wystarczyło wpechać się do pociągu relacji Wrocław – Szczecin. Postawić wózek z dwuletnią córeczką tak, by nie tarasował przejścia. Nie usnąć, ale to łatwe, gdy trzeba stać w tłumie i nie ma się o co oprzeć. Rankiem wysiedliśmy w Kostrzynie, stąd znowu pociągkiem do Gorzowa Wielkopolskiego, następnie autobusem w stronę Lubniewic i Sulęcina.

Wysiedliśmy w Świerczowie, nie zaś w Gliźnie. Przecież podziwiałoby się pejzaż i nie myślało, aby wyjść we właściwym miejscu. Ma się tę właściwą hierarchię wartości: najpierw napawać się widokiem lasów, potem drałować pieczo. Czyż nie? Lipcowe słońeczko (1980), wiatr jako nagroda od strony jeziora Lubniewsko. Przy drodze pegeerowskie łąny i dalej lasy. Pagórki. Można by tak iść i iść. Waliza, wózek z dzieckiem. Idziemy, wraz radość z nami pod rękę. Idziemy, idziemy. Aż tu zatrzymuje się żuk, taki samochód.

– Wy na pewno do nas, do naszej szkoły!

– Naturalnie...

– Wsiadajcie, zawiozę pod samiutką szkołę.

Tak oto zajęchaliśmy do Szkoły Podstawowej im. Osadników LWP, gdzie zajęliśmy mieszkanie nad salą lekcyjną i pokojem nauczycielskim.

Słowo, które skrzy

Kombajny niczym gigantyczne owady dzień i noc sunęły przez pola Glisna. Traktory ciągnęły przyczepy pełne zboża. Na srebrzystych ścierniskach pobrzękiwały świerszcze. Zegar spowalniał wskazówki, aby zatrzymać je na cyfrze: zauroczenie porą żniw. Siedziałem przy głazie zgubionym przez lodowiec, chłonąc zapach

Foto: archiwum autora



pszenicy. W lasach wabiły podgrzybki, kozaki, kurki. Dojrzewały węgierniki, konary gruszy pękły pod ciężarem owoców.

Słowo „wykopki” roziskrzyło oczy uczniów.

– Wykopki! Wykopki! Wykopki!!! – wołali narowicie. – Wykopki! Czy pan wie, wykopki!?

W dzieciństwie wykopki i mnie sprawiały radość. Nie szedłem do szkoły. Pomagałem rodzicom zbierać ziemniaki. Wieczorem piekliśmy je w ognisku. Dym miał zapach badyli. Wiatr rozrzucał iskry, które zygżakiem mknęły w czerń nieba, by zamienić się w gwiazdy. Świerszcze przygrywały, nie troszcząc się o zharmonizowanie dźwięków. Siedziałem na wozie pełnym ziemniaków. W gnojnicach był otwór zakryty deseczką. Gdy wóz zatrzymał się przy piwnicy, wyciągano deseczkę, bosymi nogami spychałem ziemniaki przez otwór w gnojnicach. Poprzez podest radośnie wpadały wprost do piwnicy.

Patrząc na oczarowanych uczniów, przypuszczałem, że gliśnieńskie wykopki będą identyczne jak i w mojej podrzeszowskiej wsi. Tymczasem... W poniedziałkowy rano pod szkołę podejżdża traktor. Uczniowie klas V–VIII, nauczyciele, dyrektor: na przyczepę. Jedziemy. Śpiewy. Pohukiwania. Trzymam się burty i tylko patrzę, czy jakieś rozszczębotane dziecko nie wypada z przyczepy.

Dojeżdżamy na pole. Jak okiem sięgnąć złocistość wykopanych ziemniaków. Słońce wychyla się zza zagajnika. Śmiechy, żarty. Przyjeżdża drugi traktor. Dzieci stają w kolejce po koszyki. Najsilniejsi chłopcy wchodzi na przyczepę, by od kolegów odbierać kosze i wiadra pełne ziemniaków. Na rajkach po kilkoro dzieci zbiera ziemniaki. Nikogo nie trzeba mobilizować. Najbardziej zdumiewa kartoflisko. Długie na dwa kilometry. Niewiarygodne! Od razu przypominają mi się poletka z rodzinnej wsi.



Foto: archiwum autora

W poniedziałek i wtorek zbieraliśmy ziemniaki w RSP, w środę i czwartek w PGR-ze. W piątek – u jednego z rolników indywidualnych. Uczniowie otrzymali pieniądze za prace wykopkowe w PGR-ze. Zarobili 70 157 zł.

Przywieziono wodę do umycia rąk i napoje, butki z marmoladą. Działwa pałaszowała posiłek w cieniu przyczepy, podczas gdy wdrapałem się na śliwę. Wiatr od strony jeziora Lubniewsko kołebał wierzchołkiem i węgierkowy sok na podniebieniu.

I kury, i gęsi

Ten dzień, ta chwila, to zdarzenie przeorały moją uniwersytecką dydaktykę.

– Dziś..., proszę, bobasku, dziś czytasz ty...

– Niech pan wpisze mi dwóję.

– Dziecko! Przecież wiesz, jakie to ważne: czytać. Bez czytania...

– Wiem, ale... Proszę o tę dwóję... Niech pan wpisze.

Uczeń VII klasy. Rzetelny, ułożony, skromny, silny, pracowity. To niepodobne, aby się nie nauczył, zaledwie dwa, trzy akapity. W roku szkolnym nie otrzymywał zbyt dobrych ocen, lecz odpowiadał z serdeczną powagą, kiwając się, czasem wyczekując na znak z mojej strony. Teraz pogodnie patrzył w moje oczy, jakby się dziwił: „Nie wie pan, to oczywiste...”.

– Dziecko, nie pojmuję...

– Mamy sto świń...

– ???

– Gęsi, kaczki, kury...

Spojrzałem przez okno na podwórko. Szkołę od zagrody innego ucznia dzieliło pięć metrów. Prosię jadło jabłka. Kury wybiegały ze stodoły, koguty skoczyły do bójki, posapywał traktor. Na przyczepie buraki. Przypomniałem sobie rodzinną zagrodę. W chlewiku jedna świnka, krowina w obórce, ze dwadzieścia kur. Ależ trzeba było się naharować, aby wyrzucić gnój, dać jeść. Babcia złamała nogę, gdy świnia wybiegła z chlewa. Sto świń w jednym wielkim chlewie! Nikt w mojej wsi nie hodował aż tylu świń. Najwyżej dwie.

Jak się miała moja dydaktyczna biegłość nauczania o przydawkach do uczniowskiej umiejętności wsparcia rodziców w hodowli tuczników? Czas stanu wojennego, żywność na kartki. Co się liczy, gdy udręczeni ludzie wyczekują w kolejkach po kość z mięsem?

Tato specjalnie dla mnie przysposobił kosę, aby była lżejsza, mniejsza. Kosilem żyto, trawę na równi z nim, gdy zdałem do VII klasy. Co wiedziałem o swoich wychowankach? Raz wracaliśmy polną drogą. „Nie zna pan życia!”. Tak powiedziała uczennica VII klasy...

Co wiedziałem o Gliźnie, zamykając się w pokoju wśród książek i poprawiając dyktanda przy melodii „Stratosfear” Tangerine Dream? Postanowiłem pójść do domów uczniów. Prowadzono mnie do pokoju z meblami na wysoki potysk. Częstowano herbatą i mą ulubioną szarlotką. Rozmawialiśmy o szkole, ocenach. Zachęcałem do kierowania dziecka do liceum. Tę myśl wielu przyjmowało ze sceptycyzmem: „Panie, jest dobra, pewna praca w gliśnieńskim PGR-ze”. „Tu mamy Lubniewicki Kombinat Rolny!”

Niebawem (po 1989 r.) zlikwidowano w Polsce PGR-y.

Niewiele ponad 100

Delikatny blask wrześnieowego poranka. Kapryśny wiatr nasączony zapachem jabłek ze szkolnego sadu. Ze wzruszeniem stanąłem obok boiska do piłki siatkowej – w tamtej chwili pełniąc rolę placu apelowego. Oto i caluśka SP im. Osadników LWP w Gliźnie. Z ufnością przychylnością ponad sto dzieci patrzy na nas – ośmioro nauczycieli. Przyglądają się, uśmiechają. Co w zanadru chowa Los? Jak zostanę przyjęty? Czy się sprawdzę? I ja byłem niegdyś bobaskiem idącym do szkoły, a teraz nauczyciel...

Wychowawstwo w klasie IV, język ojczysty w klasach IV–VIII, szkolna biblioteka. Praca w każdą sobotę. „Cóż za ulga – powitały mnie koleżanki i koledzy – wszyscy uczyliśmy polskiego”. Przez pewien czas (chyba kilka lat) w Gliźnie nie było polonisty. Etat rozdzielono pomiędzy nauczycieli różnych przedmiotów. W Polsce brakowało polonistów. Dzieci były uczone nawet przez osoby bez przygotowania pedagogicznego. Szczególnie wieś odczuwała brak profesjonalistów. Władze samorządowe od ręki dawały klucze do mieszkań służbowych, ale i tak absolwenci nie kwapili się do uczenia na wsi, co miało wpływ na to, że chłopskie dzieci rzadziej

niż miejskie wybieraty licea, które z kolei były przepustką do szkół wyższych.

Na skraju pół pagórek przypominający stożek wulkanu, w nim wgłębienie pełne chwastów. Na szczycie topole i kamienie przywleczone przez lodowiec. Często wchodziłem na ów pagór. Siedząc na głazie, na wprost miałem wieś, po prawej szosę z Sulęcina do Gorzowa Wielkopolskiego, za nią pola PGR-u, las oraz niewidoczne (bo w głębokiej rozpadlinie) jezioro Lubniewsko. Wiatr przesączony zapachem ziół, ciepło ziemi, chmury dawały wrażenie, że tkwię w kokonie, który mnie chroni i sprzyja rozmyślaniom. Nie mogłem ulegać ponurym myślom, ale przez przedłużoną służbę w wojsku stanu wojennego zbyt wiele straciłem duchowo, intelektualnie.

Gliśnieńskie dzieci jakże ufne, lecz pisały, stosując... ortografię manifestu futurystów „Nuż w bżuhu” i awangardową technikę strumienia świadomości. Skoro przez parę lat nie miały polonisty, trudno się dziwić. Wydawać by się mogło, że to fraszka: napisać poprawnie spójny tekst. Tymczasem dla ogółu dzieci to przystawiona orka na ugorze.

Nauczyciel jest jak ręka chroniąca płomyk świecy przed deszczem.

Dziecko dlań hymnem kwitnącej dalii, której lśnienie kołysze się w iskierkach sierpniowych świerszczy.

W dniu inauguracji roku szkolnego nic nie zostało określone przez Los. Ode mnie zależało, dokąd powiodę działwę. Rozgrymaszony wiatr niósł zapach jabłek.

Nikt nie śmiał nawet sobie wyobrazić, że za kilkanaście lat w Gliźnie nie będzie szkoły.

Bonanza

Glisno otulone lasem. W dali można ujrzeć Gorzów, strzelisty komin Stilonu, w którym produkowano m.in. taśmy szpulowe pakowane w pudełka z paskami w różnych odcieniach czerwieni. Nabyłem prawie sto takich taśm. Raz w Sulęcynie przez noc stałem w kolejce, aby kupić... trzy taśmy. Dziś wszystkie drzemią sobie w piwnicy. Czekają, aż kiedyś znowu postucham nagranej na nich muzyki rockowej (głównie z audycji „Zapraszamy do Trójki” Piotra Kaczkowskiego).

W Gliźnie wystarczyło wyjść poza szkolny sad, iść z dziesięć minut piaszczystą dróżką obok rzepakowego zagonu, aby wsiąknąć w ciszę sosnowego lasu albo brzoźowego zaułka.

Dziką frajdę mieliśmy, gdy na wykopki w PGR-ze lub do zbierania kamieni wieszono nas bonanzą. Przed tysiącami lat lodowiec ustąpił, zostawiając mnóstwo głazów i kamieni. Gliśnianie zbierali je, ale i tak co roku zalegały na polach. Raz w roku kamienie zbierali nasi uczniowie. Na niektórych zagonach kamienie niemal jeden przy drugim. W Gliźnie mówiono, że ziemia je rodzi, jednak zjawisko można wyjaśnić prawami natury.

Bonanza to była przyczepa z dachem i oknami, wyposażona w ławki, ciągnięta przez traktor. Służyła do dowożenia na pola pracowników PGR-u. Wewnątrz trzęsło, skrzypiało, ale tym bardziej było wesoło, sympatycznie.

Foto: archiwum autora



Słowo „bonanza” mówiliśmy ciepło, przyjaźnie, acz z nutką kpiny. Choć była toporna, szkaradna, to jednak bliska sercu. Etymologia nazwy zapewne ma związek z niegdyś bardzo popularnym serialem pt. „Bonanza” ukazującym życie farmerów na Dzikim Zachodzie.

Cokolwiek by nie rzec, miała swój romantyczny czar. Gdy wspominał glišnieńską bonanzę, widzę roześmianych uczniów krzyczących: „Niech się pan nie boi, proszę wsiadać, bileciki do kontroli”.

W połowie lat 80. ubiegłego wieku glišnieński PGR otrzymał nieduży autobus jelcz. Pojazd był isticie luksusowy, jeździliśmy na wycieczki, biwaki. Pegeerowski jelcz wiozł nas (gratis) do teatru w Gorzowie Wielkopolskim („Śluby panieńskie”, „Rozmowy przy wycinaniu lasu”, „Krakowiacy i górale”, „Balladyna”). Istnieje albowiem pedagogika, której prawidła sprawiają, że dziecko Ignie do szkoły niczym dalia do wody i stońca. Abecadło pedagogiki nie zostało wykute jakimś zawikłanym szyfrem i bynajmniej nie trzeba wyszukanego klucza, by je poznać. Jego pierwsze litery to: nauczycielska autonomia, idealizm. Uwierzenie Rousseau, że dziecko nie rodzi się ku złu. Terminowanie u Stefana Żeromskiego, Janusza Korczaka.

Do jelcza wsiadaliśmy po cichutku. Chociaż był wygodny i na swój sposób ładny, to nie wywoływał u uczniów tak spontanicznych, radosnych wrażeń jak brzydula bonanza.

RYSZARD JASIŃSKI: rzeźbiarz, literat, nauczyciel, wojskowy. W 2021 r. LWP wydało jego dwie powieści: „Niewidzialną władzę”, która zdobyła I miejsce w konkursie na powieść współczesną (Gdańsk 2003), oraz „Wrota Gomory” (powieść eksperymentalną). Mieszka w Tuplicach.

NIEUWAGA. PROWINCJONALNY SLAM

Mirosława Szott

1.

Wychodzi na środek w czarnej bluzce. Drobna, lekko siwa, z podwójnie złożoną kartką, na której zapisała swój krótki wiersz. Trzydzieści lat temu była pewnie jedną z najładniejszych dziewczyn w okolicy. Teraz jest poetką. Ściąga maseczkę, czyta kilka linijek, mijają trzy minuty.

Teraz już wiem: ani jedno słowo nie zachowało się w mojej pamięci. Wszystko przeleciało jak przez rzadkie oczka sita. Wsiąknęło gdzieś bezpowrotnie, bez śladu. Trochę mnie to rozdrażniło, bo wiem, że podejdzie i zapyta o wrażenie. Znowu będę wymyślać okrągłe zdania: że skondensowany obraz, że trzeci wers gęsty, że nadawałby się na powieść, że może mi da ten wiersz do domu. Nie skupiłam się na wierszu, bo słuchałam jej głosu – jak bezzębna poetka wymawia pojedyncze słowa. Płynęły, nie objając się o zęby. W braku. Docierały do uszu nieobrobione, kanciaste, chropowate. Zupełnie inaczej niż typowe słowa-otoczaki. Niektóre głoski brzmiały egzotycznie. Zwłaszcza te przedniojęzykowo-zębowe: t, d, n, które stały się przedniojęzykowo-bezzębne.

Ona zna swoje odbicie w lustrze i obawia się tego widoku. Fotograf podchodził z każdej strony i zrobił jej cykl fatalnych zdjęć – na drugi dzień jedno będzie w lokalnej gazecie. Zdaje się, że nie można czytać tego zdjęcia ani strategią studium, ani punctum. Chociaż po chwili zmieniam zdanie, ujęcie wydaje się ważne. Nie wiem z jakiego powodu. Całkiem możliwe, że to efekt napięcia fotografa, jego podniecenia. Jakby krał coś w pośpiechu.

2.

Vagina dentata. Podobno usta i pochwa są w nieświadomości jednym i tym samym. Wyobrażona uzębiona wagina może wyrażać lęk mężczyzny wobec bliskiego, intymnego kontaktu z kobietą. Egeusz z opowiadania Poego cierpi na monomanię, potrafi godzinami zafiksować się na błahym przedmiocie albo słowie zapisanym na marginesie książki. Ma natężoną i chorobliwą uwagę, bez kontroli. Dzisiejsze mindfulness do kwadratu. Właściwie można by uznać, że to cecha pożądana u każdego artysty. Zawiesić się na ułamku rzeczywistości i obtaczać go wszystkimi skojarzeniami, myślami i teoriami. Nigdy nie dotrzeć do całości. Tylko że w przypadku Egeusza niesie to negatywne skutki, powoduje niemal fizyczny ból i niemożność bycia w teraźniejszości. W jego przypadku konkretem stała się Berenice, chorowita kuzynka i jednocześnie narzeczona, która umarła w wyniku epileptycznego ataku. Śmierć młodej kobiety przywołuje w jego umyśle śmierć

matki. Kiedy Egeusz ekshumuje Berenice i wyrwa kobiecie wszystkie zęby, ulega (według Marii Bonaparte – uczennicy i pacjentki Freuda) pragnieniu kontaktu z matką i jednocześnie chęci zemsty, kastracji matki. Ma to być lekiem na jego impotencję. Jedno jest pewne: pożąda jej zębów. Wyobrażam sobie, że poetka ze slamu jest tą samą Berenice. Bereniką, czyli tą, która niesie zwycięstwo – jak podaje słownik znaczenia imion. Odmienioną, żywą, przechowującą swoje zęby w hebanowej szkatułce. Kobietą, która – inaczej niż u Poego – jest w stanie przechytrzyć Egeusza i jego pożądanie.

Mężczyzna wychodzi ze slamu z pozorną zdobyczą w postaci zdjęcia. Jest uwolniony od lęku. Przekonuje się, że zęby Bereniki nie istnieją tu i teraz, w jej ciele. Może odetchnąć. Miał tylko zły sen.

3.

Kolejnego dnia powiększam zdjęcie z poetką. Trzyma kartkę, która teraz, dzięki światłu, wydaje się niemal przezroczysta. Pięć krótkich wersów. Niewiele brakuje, a zdołabym odczytać tekst. Poetka jest zatrzymana. Wybrzmiewa właśnie środek słowa, ścięgnięta szyi są napięte, a oczy przymknięte. Być może czuje na sobie ciężar fotografa, jego taniec wokół niej. Chciałaby schować się do środka, być wypowiedzianym słowem. Jest tylko niegroźnym, bezzębnym niemowlęciem przystawionym do piersi tekstu. A wokół odbywa się rywalizacja na wiersz. Ona tego nie czuje, ale jest poezją. Chociaż nigdy nie wygra.

Zazwyczaj patrzy zbyt długo w jeden punkt na twarzy rozmówcy. Nieruchomo, bez mrugnięcia okiem. Trudno odgadnąć, co wtedy robi, gdzie podróżuje. Teraz schodzi ze sceny z duszą chorej dziewczynki. Pyta mnie później, nie zakładając maseczki: słuchałaś? Odpowiadam coś i zapominam dodać, że chciałabym wziąć ten wiersz do domu. Oswoić go, poprzyglądać się. Ale widzę, że słowa na jej kartce nie różnią się od innych słów na kartkach. Są gładkie i bezdźwięczne. Oderwane od źródła.

MIROSŁAWA SZOTT: poetka, krytyczka literacka, literaturoznawczyni, autorka tomików poetyckich („pomiar Zamku”, „Anna”) oraz monografii naukowej „Czytanie miejsca”. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki. Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w gremiach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie, wspiera projekty wydawnicze, ale przede wszystkim lubi niespieszne rozmowy z napotkanymi ludźmi. Obecnie mieszka w Zielonej Górze.

NA TARCZY HISTORII

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Przy drodze rośnie drzewo. Droga była międzynarodowa. Drzewo było dębem. Ogromne drzewo i zupełnie niewspółczesne. Gruby pień z życiowym doświadczeniem kory oraz baldachimem liści, które były i dachem, i tarasem, i głową drzewa w chmurach. Doświadczone drzewo. Rostło w cywilizacyjnym zgiełku drogi wiodącej ku granicy i nie przejmowało się rykiem silników, twardym smaganiem spalin z rur wydechowych. Najwyraźniej było coś, co drzewo zahartowało na przyszłość jego całą.

Zwracało uwagę, ale nikt nie przystawał, nie przyglądał się. Wszyscy tylko jechali – ku celom życiowym, granicznym i wszystkim innym.

Ich celem było spotkanie w tym nieco uśpionym letnim upale nadgranicznym miasteczku. A właściwie nie miasteczku, gdyż pozostawało ono formalnie wsią – status miasteczka dokonałby poważnych, niekoniecznie pozytywnych przemian w życiu jego mieszkańców. Formalnie więc dobrostan ludzi, którzy ułożyli sobie tu życie – w domkach zanurzonych po uszy wśród ogródków wypełnionych różnobarwnymi kwiatami i gipsowymi krasnalami – nie został zakłócony.

Spotkanie miało rangę międzynarodową, gdyż i konkurs był międzynarodowy. W przygranicznej miejscowości S. – aby wszystkim było tu po drodze. Do takich „miasteczek” rzadko się jeździ: gdzieś na uboczu wszelakich szlaków o walorach prawdziwie turystycznych, bez pereł architektury. Wydają się zbyt nudne, za bardzo odizolowane od zwyczajności świata. Samochody traktują je jako tranzyt: przejeżdżają więc, wjeżdżają i wyjeżdżają. Ciekawostki przyrodnicze – tylko dla pasjonatów. O geografii lub ukształtowaniu terenu można poczytać w wielkiej księdze internetowej, która traktuje na każdy temat.

Dla takiego spotkania przyjeżdżają jednak wszyscy. Połączy ich bowiem wspólnota kilku dni, jedność zainteresowań i pasji. Może odnajdą jeszcze coś, jakiś wspólny mianownik, wspólny zbiór, coś, co poruszy i każe pamiętać...

S. znajdował się tylko sto kilometrów od Berlina. Był doskonale skomunikowany ze światem. Taki niemalże międzynarodowy węzeł, tętniący życiem, zaludniony i systematycznie zaludniany. Po 1933 r. przywożono tu ludzi z całej Europy. Nie miał jednak stanowić międzynarodowego, pokazowego i modelowego konglomeratu, ale twór budowany z tych, którzy nie docierali tu z własnej woli. Systematycznie, przez lata zasiedlano nimi obóz. Obóz jeniecki – dla wszystkich, którzy w Europie przeciwstawiali się idei faszyzmu. Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok obóz przekształcał się w więzienie o zaostrożnym rygorze. Choroby, głód, dojmujące zimno, wilgoć – tym próbowano łamać antyfaszystowskie ideały Europejczyków. Wpójć poglądy. Zachęcić do jednomyślności.

Obóz rósł w siłę. Do pierwszych dwustu dołączyło pięćdziesięciu, do nich – kolejnych stu. I jeszcze kolejnych dwustu. Typowano, osaczano, chwymano, separowano,

wywożono. Różnych ludzi, różnych profesji, różnych zajęć, z różnych stanowisk i różnego wykształcenia. Zbiór wspólny – buntowników, antyfaszystów.

Siedzimy na tarasie, w cieniu parasoli. Sączymy chłodny napój. Mówimy w różnych językach. Na razie na tym tarasie jest Wieża Babel. Słońce zagląda za horyzont. Szukamy wspólnych słów i nici porozumienia, którą zszyjemy to, co nie klei się i nie spaja. Pierwsze nitki łączy w całość jakaś piosenka wykonywana po angielsku. Wszyscy znają słowa. Uzyskujemy harmonię. Nasz angielski jest słowiańsko miękki. Angielski Rosjan nadal ma w sobie ich przedniojęzykowo-zębowe „L”. Niemcy po angielsku śpiewają twardo, silnie i mocno, ale nadal po niemiecku. W angielskim się różnimy, choć staje się i tak swoistym esperanto.

Są jednak takie utwory, których nie ruszamy, bo za bardzo poruszają. Zawiązuje się wspólnota, ale z koniecznością stosownych przemilczeń. Za to śmiejemy się w języku wspólnym.

Teraz świerszcze przejmują melodię i niosą ją odważnie w mrok, a psy nieco zawodzą swoje psy murmurando o niedogodnościach pieskiego życia.

Wśród więźniów byli naukowcy. Byli pisarze. Tworzyli historię, choć zatrzymali w czasie. Nie chcieli wyzbyć się swoich poglądów. Łamanie nie załamywali rąk. Ich wspólny język stanowił obozowy slang, w którym najczęściej było słów niemieckich. Pijani strażnicy uczyli ich obozowego życia. W pijackim widzie bili, torturowali, bawili się w najlepsze zabawką ludzkiego istnienia. Nakręcony bąk zdarzeń kręcił się coraz szybciej, groźniej, żądlił, kąsał. Stawali się władcami. Reżyserami widowiska w historii świata. Wykorzystywali swój czas. Sterowali istnieniem. Odczłowieczali człowieka.

Dzisiaj wielki dzień! Czytamy na tarasie nasze utwory o świecie bez przemo-
cy, świecie bez wojen, świecie bez nazizmu. Dzisiaj łączy nas wspólnota tematu, więc wspólny język nie jest tu nieodzowny. Do wyrażenia myśli wystarczą nam nasze języki. I już wiemy. Że w utworach Polaków dominują międzyludzkie konflikty i ludzkie dramaty, są kłótnie i niepokoje codzienności. Takiej obok człowieka, takiej dobrze znanej, doświadczanej i pewnej. Niemcy opisują piękno świata. Jest więc przyroda, która ocala. Są wielgachne klucze ptaków jesienią. Drzewa snują opowieści, a piękno wyzwała najszlachetniejsze z ludzkich uczuć.

Każdy może mówić i może nie mówić. Ma prawo głosu i może głosu nie zabierać. Może oddać głos na konkretny tekst lub głośno wyrazić myśl. Literaturą łatwiej mówić o niepokojach świata. W literaturze łatwiej niepokoje ukryć.

Nadeszło wyzwolenie. Najbardziej dramatyczna noc obozu w S. nastąpiła z 30 na 31 stycznia 1945 r. Zaryglowano bramę. Przywieziono posiłki. Posiłki nikogo nie nakarmiły, ale zabijały. Minuta po minucie, godzina po godzinie. Płynęły wieczność całą, a oni płynęli do wieczności. Dziesiątkami, setkami. Stosy niepotrzebnych ciał, które nie były już niezbędne do zabawy w historię. Zostały na dziedzińcu jako świadectwo – pomniki wojny z wypisanymi krwią na murach życiorysami.

Muzeum jest niepozorne. Szara, ciemna bryła robi wrażenie bardzo współczesnej architektonicznie. Ma się wrażenie muzealnej nowoczesności, multimedialnych atrakcji, które przyciągną uwagę zwiedzającego. Pusty, wielki plac

wygląda niczym ogromny parking. Gdyby zaparkować wszystkie samochody, które bezustannie podążają ku granicy, zapętniłoby się ten parking całkowicie. Nieopodal stoją taweczki. Po szaleństwie zwiedzania można przysiąc w cieniu wielkiego drzewa, aby stopniowo wracać do rzeczywistości. Tu wszystko zawieszono jest w czasie – na tym wielkim drzewie, które ma wielki baldachim, jest wielkim tarasem i wielką głową w chmurach.

Przekraczamy progi muzeum. Wkraczamy w inny świat. Otwieramy inną przestrzeń i przenosimy się w czasie. W gablotach leżą rzeczy, które przeżyły właściciele i „triumfują w czasie”. Są okulary bez szkieł – same druciane oprawki. Jest drewniany różaniec. Są buty, które wraz z człowiekiem przemierzały dni i walczyły o godność. Jest pióro – być może napisało niejeden list, który nigdy nie dotarł do świata na zewnątrz. Jest przerdzewiała manierka, w której nigdy nie było wody życia. I drewniana tyłka. Strzępy gazet, kartki książek, kółeczko do niewiadomych celów i fragment łańcuszka, na którym w przeszłości zawieszony był jakiś talizman chroniący od złego. Ze zniszczonych zdjęć wpatrują się w nas oczy. Przenikają do głębi i zapadają w pamięć. Są też zdjęcia oprawców. Mundury ukrywają ich skutecznie. Widać tylko mundury. Spod mundurów wyłaniają się epolety i odznaczenia. W mundurach tkwi godność i wielkość. Kołnierze mundurów wymuszają podniesienie głowy i odsonięcie całej wielkości uniformu. Jest w nim pełnia ideologii, skupia się w nim cała prawda. Dopiero na końcu jest gdzieś w mundur wtłoczona twarz. Czy można z niej wyczytać dumę i wielkość?

Czytamy o życiu więźniów. O porach roku, które przemijały z ludźmi, o latach i o tej wielkiej bramie, zamkniętej na zawsze.

W ostatniej gablocie leży klucz. Jest wielki. Taki, jakim w bajkach otwiera się zamki lub komnaty pełne tajemnic. To klucz od głównej bramy. Klucz, który w styczniową noc wyrzucono gdzieś w śnieg, aby zamknąć tajemnicę przed światem. Tylko jedno przekręcenie tego klucza w zamku mogło dać ludziom wolność. Klucz – największy oprawca! Klucz do życia na wolności. Trafił w niepowołane ręce i nie mógł spełnić swojej powinności. Zamknął ciała ułożone na stosie i sam spoczął w jakimś przydrożnym rowie, aby nie wyjawić prawdy i nie otworzyć tajemnic. Teraz leży oddalony od innych eksponatów tego muzeum. Niegodny i potępiony klucz do życia.

To już koniec ekspozycji. Głos pracownika muzeum przybliży nas do rzeczywistości. Zbierają ocalale przedmioty. Ciągłe czekają. Potomkowie zmarłych? Tak, przyjeżdżają. Szukają śladów istnienia dziadka lub wujka. Niekiedy konfrontują zdjęcia z rodzinnych albumów z obozowymi zdjęciami. Dla niektórych jest to jeszcze jeden przystanek, kolejny etap poszukiwań i dociekań o przeszłości swoich bliskich. Nie, muzeum zostało wybudowane nieco bliżej drogi, nie dokładnie w tym miejscu, gdzie były mury. Fragment muru ocalał. Po wyjściu z muzeum należy spojrzeć nieco w prawo, trochę dalej. Porośnięte gęstymi chaszczami fragmenty murów – tych, które pamiętają. Ale zostały te stare drzewa. One rosły tu nawet przed 1933. Tak... Gdyby umiały mówić... O, tu – na zdjęciach – widać, że ich korony zaglądały już wtedy w głąb, przenikały przez mur – on nie stanowił dla nich żadnej granicy nie do

przejścia. Jak gdyby chciały zapamiętać. Gdy poszerzano drogę, mówiono o wycince tych drzew, ale jakoś nikt nie miał sumienia. Drzewa się wybroniły. Że ten supermarket z drugiej strony muzeum? Życie nie lubi próżni. Tyle wolnego miejsca.

Wychodzimy na jasną stronę świata. Jest lato, świeci słońce, samochody przemykają ku granicy. Drzewa podnoszą zielone głowy na karkach brązowych pni. Pomniki wystawione ludziom przez naturę.

Dyskutujemy o czasach, o historii i jej kole, które toczy się powoli, rytmicznie, zgodnie z pulsem świata. Wracamy jednak do współczesności, niekiedy przez nas tak samo nierozumianej jak wielkiej historii ze wszystkimi jej trybikami i całą ogromną machiną.

Tymczasem z muzeum wychodzą dwie Niemki. Staruszki. Jedna z nich płacze. Łzy lecą wyżyłbionymi na jej twarzy przez czas bruzdami – ścieżką życiowych doświadczeń. Po angielsku tłumaczy swoje zachowanie, którego wcale nie musi nam tłumaczyć. Ona... nie wiedziała. Wiedziała o wojnie, o obozach koncentracyjnych, ale nie wiedziała o takich obozach i o takich jeńcach. Jeden z wymienionych z nazwiska oprawców przypominał jej sąsiada z dzieciństwa, a drugi dziadka. I nazwisko znalazła podobne. Oglądała każde zdjęcie. Nie, nikt z jej bliskich nigdy nie był w Polsce. Że tu były wtedy Niemcy? Nie, ani wtedy, ani później. Nie zna takiej opowieści. Doszukuje się zbieżności, gdyż czuje się Niemką i czuje się winna.

Wieczorem, na tarasie, siedzimy pod wielkimi parasolami. Niemka opowiada o tym, jak młodszy o kilkadziesiąt lat Polacy dzielnie czekali na nią przed gmachem muzeum, jak zaniepokojeni pytali, dlaczego płacze, jak słuchali jej opowieści. I że to było dla niej takie swoiste pojednanie – wspólny powrót, wspólne zwiedzanie muzeum i wspólna historia, która zamknęła wielką bramę tamtych czasów. Dla opowiadania – kłamra kompozycyjna. Dla człowieka – symbol zamknięty w ludzkim geście.

Przy drodze rośnie drzewo. Droga jest międzynarodowa. Drzewo to dąb. Ogromne drzewo i zupełnie niewspółczesne. Gruby pień z życiowym doświadczeniem kory oraz baldachimem liści, które są i dachem, i tarasem, i głową drzewa w chmurach. Doświadczone drzewo. Rośnie w cywilizacyjnym zgiełku drogi wiodącej ku granicy i nie przejmuje się rykiem silników, twardym smaganiem spalin z rur wydechowych. Jest coś, co drzewo zahartowało na przyszłość jego całą.

Wszyscy przemykają obok drzewa – ku celom życiowym, granicznym i wszystkim innym.

A jeśli ktoś na moment przystanie? Niejedno usłyszy, aby śmiało podążać w przyszłość.

Lipiec 2021

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języków polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Jej opowiadanie „Každemu potrzebny jest Drugi” – zamieszczone w 2. numerze „Pegaza Lubuskiego” – zostało nagrodzone na Ogólnopolskim Konkursie Literackim Istota Człowieka (Koszalin 2006).

MAŁOŚĆ

Marek Lobo Wojciechowski

Poczwarka, w kokonie, robi rzeczy
o jakich nam się nie śniło: ni mniej,
ni więcej – przepoczwarza się.

Cóż takiego robimy całe życie,
co byłoby ważniejsze
niż motyl?



MAREK LOBO WOJCIECHOWSKI: poeta, prozaik, autor tekstów piosenek. Były żołnierz zawodowy, absolwent Wyższej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu. Autor pięciu tomików poetyckich: „Suplement” i „Z wędrówek po okolicy” (2007), „Ektoplazma” (2009), za który otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki, „Krwibieg” (2017) i „Dzień kreta” (2019), za który otrzymał drugi Lubuski Wawrzyn Literacki. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów literackich. „Rozdanie” (2021) to jego debiut prozatorski.

MIŁOSNA

Beata Igielska

Do Miłosnej można wjechać z każdej strony świata. Ale najładniejsza droga prowadzi ze wschodu. Najpierw trzeba przejechać krętą aleją z wielkimi lipami, które niemal trzysta lat temu posadzili braciszczkowie zakonni. Po klasztorze zostały już tylko porośnięte wysoką trawą zmurszałe fundamenty i krzyż w parafialnym kościele. A po braciszczkach zostały kości głęboko w ziemi.

Z lewej strony lipowej alei są pola z pszenicą i ziemniakami. Z prawej stoi kapliczka Matki Boskiej Cierpliwie Słuchającej. Rok po Pierwszej Wojnie kazał ją tu wybudować stary Bernstein, gdy jego żona powiła wreszcie dorodnego chłopaka.

Tuż za kapliczką rosną dwa dęby, które nie wiadomo, skąd się wzięły. Dalej jest mała łąka Drewnowskich i ogrodzony dziurawą siatką stadion, na którym odbywają się festyny i dożynki. Kiedyś rozgrywano tu też mecze, ale klub piłkarski rozpadł się równo dziesięć lat temu, gdy trener Waloszek porzucił i drużynę, i rodzinę dla jakiejś siksy z Dalekiego Miasta. Waloszkowa najpierw przestała jeść i dbać o dzieci, ale po kilku miesiącach wzięła się w garść. Wizyty w kościele zamieniła na wyjazdy do kosmetyczki, dzięki czemu nabrała pewności siebie i wkrótce się pozbierała. Za to klub piłkarski nie pozbierał się już nigdy, więc latem płyta stadionu niczym nie różni się od łąki Drewnowskich.

Za polami i za stadionem kończy się lipowa aleja i zaczyna poniemiecki betonowy most nad Obrą, która latem bywa w tym miejscu tak wąska i płytka, że można ją przejść, nie zamoczywszy kolan.

Kawałek dalej jest drewniany most nad Jordanką, która za domem Krzyżaniaków wpada do Obry. Jordanki nie ma na żadnej mapie i część mieszkańców nazywa ją po prostu potoczkiem. Latem w Jordance jest tyle wody, co kot napłakał, ale po jesiennych deszczach i wiosennych roztopach woda już nieraz wylewała na okoliczne pola i kilka razy podmywała dom Krzyżaniaków.

Drugi most co kilka lat trzeba naprawiać, bo ciągle coś w nim się psuje. Wszystko przez Sowietów, którzy pod koniec Drugiej Wojny najpierw po pijaku puścili go z dymem, a potem udawali głupich.

Miesiąc później do Miłosnej przyjechał Inżynier z żoną przy nadziei i w zamian za dom po Bernsteinach zaoferował swoje usługi. Inżynier nie miał pojęcia o budowaniu nawet bardzo małych mostów, ale miał przestrzenną wyobraźnię, tupet i dar przekonywania, więc na wiosnę nad Jordanką robota paliła się ludziom w rękach.

Gdy wszystko było gotowe, skończyła się wojna, a żona Inżyniera urodziła również dorodnego chłopaka, co żona Bernsteina. Po kilku latach most zaczął podejrzanie trzeszczeć, ale Inżyniera nie było już w Miłosnej. Robił karierę aparatczyka w Pobliskim Miasteczku i nie zamierzał zaprzętać sobie głowy mostem nad Jordanką, której nawet nie ma na mapie.

Naprawą zajęli się opaleni chtëpocy ze Służby Polsce. Przyjechali z Dużego Miasta latem. Za dnia całą brygadą majstrowali coś przy moście i pomagali w polu, a wieczorami organizowali spotkania, na których recytowali wyuczone agitacyjne hasła. Nikt ich nie słuchał, z wyjątkiem Hanki od Korbalów, która tak zapatrzyła się w wysokiego bruneta z blizną na brodzie, że potem całymi dniami wymigiwała się od roboty i wyptakiwała za nim oczy. Z dnia na dzień rósł też brzuch Hanki, a gdy zaczął przypominać bęben, stary Korbała wyrzucił ją z domu. Hanka zamieszkała u życzliwej ciotki i już nigdy nie pokochała żadnego mężczyzny.

Gdy kilka lat później most znów zaczął trzeszczeć, Hanka wyjechała z synkiem do Pobliskiego Miasteczka. Najpierw pracowała w restauracyjnej kuchni, a potem awansowała na kelnerkę.

Któregoś dnia wylała Inżynierowi na spodnie zupę i wtedy w jej życiu zaczął się nowy etap. Zupa nie była gorąca, a Hanka tak uroczo wypięta pierś i przymknęła oczy w oczekiwaniu na awanturę, że Inżynier zamiast na nią nawrzeszczeć, obrócił wszystko w żart i zapewnił kierownika, że nic się nie stało.

Hanka wyprowadziła się z wynajmowanego pokoiku do mieszkania nad biblioteką i zaczęła pracować w pocztowym okienku. Posyłała stamtąd wszystkim urocze uśmiechy i zakładała coraz bardziej wydekoltowane bluzki, o które zazdrosny Inżynier robił jej awantury.

Po dwóch latach w Hance do szaleństwa zakochał się Kierownik Spółdzielni Społem. Był starym kawalerem, miał plecy, widoki na przyszłość i obiecał usynowić Marka, więc Hanka przyjęła oświadczenia. I choć nigdy go nie pokochała, do końca życia żyła jak pączek w maśle.

Gdy rok temu żegnała się ze światem po nieudanej walce z rakiem, drewniany most nad Jordanką znów zaczął podejrzanie trzeszczeć i gmina musiała ogłosić przetarg na naprawę.

Pierwszy dom za drewnianym mostem trzydzieści lat temu budził w Miłosnej powszechną zazdrość. Piętrową willę z płaskim dachem i kawałkami kolorowego szkła w tynku postawił Bertrand Beder, nauczyciel języka niemieckiego, który pracował w Pobliskim Miasteczku. Mimo iż na każdym kroku dawał wyraźnie do zrozumienia, że zarabia krocie tłumaczeniami i ma rodzinę w RFN, w Miłosnej i tak wszyscy wiedzieli, że pieniądze na dom dał jego teść, największy w okolicy bamber.

Bertrand był dumny ze swego oryginalnego imienia. Gdy mając piętnaście lat, wyczytał, że nosiło je wielu uczonych i artystów, od razu poczuł się jak ktoś wyjątkowy. Był pewien, że matka długo zastanawiała się, jak nazwać syna, który przyszedł na świat po dwóch niezbyt rozgarniętych córkach.

W rzeczywistości imię było efektem pomyłki wstawionego urzędnika, który nie dosłyszał – Jak? Bertrand? – pytał urzędnik.

– Nie... Nie Bertrand, tylko ten... No... – mamrotał Beder, który od dwóch dni świętował z kolegami narodziny syna.

– Bernard może?

– Chyba tak... Chociaż nie... Żona mówiła jakby Ber... O Jezu! A pisz pan sobie, co chcesz!

Urzędnik starannie wykaligrafował w akcie urodzenia dane nowego członka społeczności Odzyskanego Miasteczka, bo choć z natury był niechlujny, miał piękne, przedwojenne pismo i lubił się nim chwalić. Gdy obejrzał dokument, ze zdziwieniem pokiwał głową nad wymyślnym imieniem. Brzmiało z niemiecka, ale przecież nazwisko też polskie nie było.

Akt urodzenia powędrował do sfatygowanej szafy, a stary Beder powędrował do domu, w którym żona zmyła mu głowę.

– Miał być Bernard! Na cześć dziadka! I na szczęście! – krzyczała Leokadia Bederowa, która wierzyła, że pomyślny los przodka przełoży się za sprawą imienia na małego chłopca, którego, w przeciwieństwie do córek, wydała na świat w wielkich boleściach.

W dzieciństwie rzadkie imię przysporzyło Bertrandowi wielu złośliwości ze strony rówieśników i nieraz żałował, że rodzice nie nazwali go po prostu Józkiem albo Antkiem. Dopiero w średniej szkole zaczął ze swojego imienia robić atut. Opowiadał dziewczynom o arystokratycznym pochodzeniu i wymyślał najdziwniejsze historie na temat rodzinnych tradycji. W końcu sam uwierzył, że dzięki kilku literom jest kimś wyjątkowym.

Gdy zaczął uczyć w liceum, od razu postanowił uprzedzić reakcje uczniów, którzy mieliby śmiać się z jego imienia. Od pierwszej lekcji dał się poznać jako despotyczny dziwak, by z biegiem lat obrosnąć w legendę. Uczniowie panicznie bali się jego niekontrolowanych wybuchów i po cichu przezywali go Gestapowcem.

– To niby jak masz na imię? – pytał purpurową ze wstydu pierwszoklasistkę.

– Sandra... – szczipła blondyneczka z ledwością powstrzymywała tży i nerwowo wytamywała palce.

– Sandra! A cóż to za imię? Dobrze dla jaszczurki albo rybnej konserwy! – grzmiał Bertrand, a przerażeni uczniowie albo spuszczaali w milczeniu głowy i modlili się, by samemu nie paść ofiarą niewybrednych żartów, albo przymilnie śmiali się z dowcipów.

Gdy pod koniec lat osiemdziesiątych po szkole rozeszła się plotka, że Bertrand idzie na emeryturę, licealiści szaleli z radości. Ich entuzjazm dzielali młodzi nauczyciele, którzy mieli na pieńku ze starym zgryźliwcem i nie pochwalali jego metod, ale nigdy nie odważyli się powiedzieć tego głośno. Bertrand trzymał bowiem sztamę z dyrektorem i powszechnie było wiadomo, że kto mu się narazi, naraża się także dyrowi.

W plotce o emeryturze nie było ani krztyny prawdy i nigdy nie udało się ustalić, kto ją puścił. Od tej pory jednak licealiści wciąż karmili się nadzieją, że wreszcie nadejdzie ten piękny dzień, gdy pozbędą się wrednego Gestapowca.

Ich marzenia spełniły się dopiero pięć lat później, gdy Bertrand dostał rozległego zawału i omal nie przeniósł się na tamten świat.

Gdy kurował się na kardiologii w Dużym Mieście, zmienił się dyrektor liceum. Lubiącego zaglądać do kieliszka ramola od biologii zastąpiła energiczna pani profesor od polskiego. Kilka lat wcześniej Bertrand nakrzyczał na nią przy uczniach, wymyślając od obrzydliwych i grubych babsztyli. Potem były jeszcze inne przykre incydenty w pokoju nauczycielskim. Polonistka wyraźnie dawała odczuć germaniście, że uważa go za wariata i zakompleksionego sadystę, on na każdym kroku podkreślał jej staropanieństwo, nadwagę i wsiowe okulary.

Gdy po wyjściu ze szpitala Bertrand dowiedział się o zmianach, jakie zaszły w szkole, omal znów nie wylądował na kardiologii. Oczywiście wyobraźni widział tryumfującą minę nowej dyrektorki i łańcuszek uczniów skarżących jej się na niego przy każdej okazji.

Od początku nie znosił tej baby. Nigdy nie mógł też pojąć, jak to się dzieje, że uczniowie nie nabijają się z jej wylupiastych oczu, staromodnych kiecek i rozciągniętych swetrów. Nazywali ją Słonikiem, ale nie było w tym nawet odrobiny złośliwości. O nim mówili Gestapowiec! Pewnie sądzili, że Bertrand o tym nie wie, ale jego uwadze nie uchodziło nic, co miało jakikolwiek związek z jego osobą.

I pomyśleć, że teraz ta słonica miała by dyrygować Bertrandem? Nigdy w życiu! Bertrand najpierw pół roku siedział na zwolnieniu lekarskim, aż wreszcie naprawdę zdecydował się zostać emerytem. Wszystkie formalności załatwiał w szkole przez żonę, bo w głowie mu się nie mieściło, by miał stanąć naprzeciw tej grubej okularnicy. I może jeszcze tytułować ją panią dyrektora? To już wolałby umrzeć na to cholerne serce.

Nie umarł jednak, lecz wziął się za hodowlę drzewek bonsai. Gdy okazało się, że nie ma ręki do pielęgnacji roślin, zapisał się do koła łowieckiego. Teściowie zachęcali go, by zamiast takich dziwactw poszedł w ślady szwagra i przejął część ich szklarni z dochodowymi gerberami i frezjami. Bertrand oświadczył im jednak, że ma w dupie takie bamberskie interesy, które są poniżej jego godności. Tym ostatecznie ich do siebie zraził i gdy trzy lata później teściowie zginęli w wypadku samochodowym, ich cały majątek trafił do kieszeni brata żony.

– No i dobrze! – oświadczył Bertrand, lecz w głębi duszy czuł wielki zawód.

Był koniec lat dziewięćdziesiątych. Żona od awantury z jej rodzicami prawie z nim nie rozmawiała. Dach postawionego ćwierć wieku temu domu wymagał solidnej naprawy, podobnie jak komin i instalacja elektryczna. Zatopione w poszarżalym tynku kolorowe szkiełka przyciągały już tylko wzrok wąsających się przy Jordance smarkaczy, którzy nie mogli się nadziwić, jak bardzo obciachowy wzorek zafundował sobie na ścianie Stuknięty Bert. Tak od kilku lat nazywali go najmłodszy mieszkańcy Miłosnej, o czym na szczęście Bertrand nie wiedział.

Za niemodną już willą Bederów zaczyna się rząd poniemieckich domów. Większości nikt nie remontował od dziesięcioleci. Ulica Wjazdowa przed Drugą Wojną nazywała się Klasztorna, ale potem przemiano ją na Stalingradzką. Po Wielkim Przełomie radni niemal dwie godziny strawili na ustalaniu nowej nazwy.

Przewodniczący rady upierał się przy ulicy Kościelnej, bo był nawiedzony i chciał się podliznąć nowemu proboszczowi. Ostatecznie wygrała propozycja starego Kościelaka, który jako jedyny był radnym niezależnym i – nie wiedząc czemu – zdobył w samorządowych wyborach rekordową liczbę głosów.

We wsi mówiło się, że po dziadku odziedziczył wysoko podniesioną głowę i zdecydowane spojrzenie, które zjednywało mu i kobiety, i mężczyzn.

Stary Kościelak tak naprawdę nie był stary. Miał dopiero pięćdziesiątkę, ale posiwał jeszcze przed trzydziestką, bo taką miał urodę. A urodę miał rzeczywiście jak mały który mężczyzna w okolicy. Nawet głębokie zmarszczki wokół oczu dodawały mu uroku i sprawiały, że oglądały się za nim także szczęśliwe mężatki.

Najmłodsza córka Kościelaka żartowała nieraz, że ojciec rozsiewa po wsi feromony, ale gdy widziała gradową minę matki, milkła i nawet nie próbowała wyjaśniać rodzicom, co to są feromony, o których huczą kolorowe gazety i jeszcze bardziej kolorowe programy telewizyjne.

Rząd poniemieckich domów tuż przy Rynku rozchodzi się na wszystkie strony świata. Na północy pnie się pod górę aż do budynku przedszkola i nagle urywa przy wielkim dębie, który wiatr posiał jakieś sto lat wcześniej, niż bracisz-kowie zakonni posadzili swoje lipy.

Za dębem zaczyna się Nowa Droga, która prowadzi do Willowego Osiedla, na którym jak grzyby po deszczu wyrastają niemal identyczne białe domy z plastikowymi oknami i gankami na niby-rzeźbionych kolumnach. Przy willach nie ma płotów ani ogrodów z malwami. Na idealnie wystrzyżonych trawnikach rosną iglaki albo fikuśnie przystrzyżone japońskie wiśnie, które nie wiadomo czemu tak się nazywają, bo nie dość, że są kupowane u ogrodnika w Pobliskim Miasteczku, to na dodatek wcale nie rodzą owoców.

Najmłodsza córka Kościelaka, która mieszka z rodzicami w ostatnim starym domu przy wielkim dębie, często popatruje tęsknie na białe domy i powtarza, że jeśli wyjdzie za mąż, to tylko za chłopaka, który będzie miał taki sam albo jeszcze większy biały dom z kolumnami. Kościelakowa wzrusza wtedy ramionami i nazywa córkę głupią bzdziągwą. A Kościelak albo nic nie mówi, albo rzuca z pogardą pod adresem mieszkańców Willowego Osiedla wymyślne epitety. Raz nazywa ich zasranymi nuworyszami, innym razem dorobkiewiczowską hołotą albo wiejskimi japiszonami. Wtedy córka milknie, bo nie wie, kim są nuworysze, dorobkiewiczowe i japiszony. W słowniku sprawdzać jej się nie chce, a w kolorowych gazetach nie używają takich dziwnych słów.

Na południu poniemieckie domy ciągną się aż do lasu. I tylko postawiony w latach siedemdziesiątych bank psuje w tym miejscu jednolitą zabudowę. Ale uwagę na to zwracają jedynie letnicy, bo miejscowi już się przyzwyczaili. Zresztą mają na głowie ważniejsze sprawy niż architektoniczny porządek. Poza tym letnicy najczęściej wpadają do Miłosnej tylko po zakupy, bo wolą siedzieć nad Pobliskim Jeziorem. Niektórzy przyjeżdżają tu nawet z Bardzo Odległych Miast, bo mówią,

że chcą pooddychać innym powietrzem. To akurat wielu starych mieszkańców dobrze rozumie. O tym, że nad Miłosną unosi się jedyny w swoim rodzaju klimat, wiedzą także młodzi. Ale tylko nieliczni wiedzą, dlaczego tak się dzieje...

Za rynkiem ulica Wyjazdowa przechodzi nagle w Podgórną. Pnie się na zachód aż do cmentarza i tam znów rozchodzi na północ i południe.

Na północy ludzie tłoczą się w popegeerowskich blokach. A na południu żyją tak, jak Pan Bóg przykazał – wieczorami podlewają w ogródkach bób, fasolę i nabrzmiatę piwonie albo dalie. Potem siedzą na progach domów, popijają miętę z miodem i jedzą chleb ze śmietaną i z cukrem. Nocami nasłuchują skrzywienia starych desek na strychu, a za dnia wygrzewają się na słońcu albo przy piecu. Szukają cienia pod gruszami albo chowają się przed deszczem i mrozem w domach. Wszystko zależy od pory roku i kapryśnej pogody, która w Miłosnej jest w ostatniej dekadzie tak samo dziwaczna i nieobliczalna jak w całym kraju.

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowzięci. Od 2021 r. wiceprezesa gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.



TRZY KOBIETY

Hanna Ciepela

1. Kolacja na trawie

Anka bez Koszuli. Tak nazwał ją Mietek, woźny z przedszkola, w którym przed laty pracowała jako pomoc nauczycielki. Bo zasnęła kiedyś w rozpiętej koszuli, w kantorku, gdzie przechowywano leżaki dla maluchów.

I tak już zostało. Anka bez Koszuli.

Machnęła ręką na przewisko i tylko pięścią pokazała Mietkowi, że jeszcze kiedyś mu przyleje. Oczywiście, tylko dla żartu, bo ze starego Mietka był niezły numer. Mały, stary, żylasty facecik, który ciągle załatwiał jakieś interesiki. I śmiesznie opowiadał: „Idę sobie bez plac”. Zamiast: „Idę sobie przez plac”.

W tym przedszkolu w ogóle było wesoło. Jak się o dwunastej rozstawiło leżaki na sali i ubrało dzieciaki w piżamy, to właściwie było po robocie. Kucharki też były równe babki. Dyrektorce obiad do gabinetu nosiły. A z niedojedzonych porcji po dzieciach robiły zlewki dla świń, które odbierał brat Mietka. Na kuchni robiło się imieniny. Czasem coś Mietek przyniósł od brata z wdzięczności za zlewki. I tak toczyło się koło.

Aż któregoś dnia dyrektorka czerwona na twarzy wpadała do sali: *Pani Aniu, pani będzie świadkiem*. I do kuchni razem poszły. I dyrektorka, że *kucharki kradną, że trzeba im przy świadkach torby przeszukać*. Potem kazała Ance liczyć do protokołu te kotlety wyjęte z toreb.

Później były ciche dni w przedszkolu. „Stara” już nie jadała obiadów, a na Ankę ktoś doniósł, że pije w pracy. I dyrektorka: *Trzeciej nagany już dać nie mogę*. I skończyła się praca w przedszkolu.

Minęły lata świetlne. Anka trochę dorabiała, sprząając w nowej willi pod miastem. Ale nie była zadowolona. Po pierwsze, autobus jeździł tam tylko kilka razy dziennie, więc trzeba było się spręzać, aby potem nie zapierdalać siedmiu kilometrów do swojej wiochy.

Po drugie, mieli tam przy domu wielkiego durnego psa, którego się bała. Więc zawsze mu rzucała kawałek chleba i biegła przez podwórkę do bramy. A po trzecie, kiedyś przez zapomnienie zostawiła małątkę na komodzie. Potem właściciel mówił do niej: *Ależ, pani Anno*.

No i skończyło się babci sranie. Została bez pracy. Na dodatek sama w starym domu po zmarłych rodzicach, bo mąż kilka lat temu do Niemiec za pracą wyjechał. Kogoś tam znalazł. Nie wrócił.

A maj piękny. Bzy przy drodze zakwitły. Ludzie zatrzymywali samochody i rwali gałęzie, choć wiadomo, że bez wazonie długo nie postoi. Poszła więc wieczorową porą do sklepu z wymiętą dyszką, szczęśliwie znaną w spodniach, i kupiła dwie żółdkowe za pięć sześćdziesiąt. Obiecała sklepowej, że jutro resztę doniesie.

Pod sklepem stał Andrzej, co to na niego wołali Aborygen, bo miał niskie czoło i wielką czuprynę. Potem doszedł jeszcze Zbychu z siatką pustych butelek. No to się dogadali, że Zbychu kupi żubry i pójda na łąki, zwane przez wszystkich stepami.

Ciepło było jak latem. Siedzieli we trójkę na trawie, jak na obrazie Maneta, tyle że była to bardziej kolacja niż śniadanie. Aborygen zagaił: *Znałem różne kurwy, ale ty, Anka, jesteś porządna dziewczyna. Żaden chuj...*

Zarechotali z gadki.

Potem Ance szczać się zachciało, a że na dworze dopiero szarzało i głupio było łać przy chłopach (aby kóregoś do macania nie sprowokować), posłała w chaszczce przy starym mostku.

Strasznie ją kołowało, gdy rozpiła spodnie. Zobaczyła w oddali sylwetkę biegaczki w żarówiastej kurtce. *Że też jej się, kurwa, chce biegać* – zdążyła mruknąć.

Potem straciła równowagę.

2. Zobaczyć trupa

Bieganie jest nudne. Szczególnie gdy jest to bieganie wymuszone. Żeby nie mieć poczucia winy i coś ze sobą robić po czterdziestce. Biegam więc dwa, czasem trzy razy w tygodniu. Nie martwcie się, nie powalę was ilością przebieganych kilometrów. Tylko trzy i pół.

Biegam od kilku lat. Moje przygody podczas biegania? „Przygody” to brzmi zbyt poważnie. W słowniku synonimów znajduję inne, bardziej pasujące określenia „w odniesieniu do niecodziennego zdarzenia” to „dziwowiska, epizody, fuksy, incydenty”. Niech będą „incydenty”.

Może najpierw te przykre. Często na asfaltowej drodze koło lasu widzę martwe zaskrońce. A z tymi gadami mam wspomnienia. Jak byłam mała, jeździliśmy z rodzicami na wczasy do Skorzęcina. To był popularny peerelowski ośrodek („malowniczo położony pośród dwóch jezior”). Tam były też gęste lasy i zaskrońce, które jako mała dziewczynka, jak opowiadała moja mama, nosiłam w kieszeniach. Więc do zaskrońców mam sentyment. Żał mi, że wygrzewając się na asfalcie, bo chyba po to tam pełzną, tracą życie.

Jakie jeszcze incydenty pamiętam? Raz na poboczu znalazłam dwie dychy. Pewnie komuś wypadły, gdy wychodził z samochodu za potrzebą. Nie będę pisać o tym, że pobocza są straszliwie brudne. Gdyby tam wylądowały ufoludki i ze znalezionych przedmiotów próbowały określić „upodobania ssaka naczelnego”, musiałyby wziąć pod lupę: prezerwatywy, małpki, tabletki, napoje energetyzujące, batony i mokre chusteczki.

Kiedy biegnę, nie mam swoich lat. Biegnę. Rozmyślam. Marzę. Wspominam. Jak byłam mała, mieszkaliśmy na pierwszym piętrze klockowatego budynku. Kiedyś na klatce schodowej spadłam ze schodów i dość mocno się potłukłam. Złamałam jakąś chrząstkę w uchu (do dziś wyczuwam zgrubienie). Rodzice usłyszeli hałas, wybiegli z mieszkania, aby mnie podnieść. Takie fakty. Ale w mojej

młodej głowie, wypadek wyglądał inaczej. Ja przeleciałam w powietrzu nad tymi schodami. I nie czułam żadnego bólu. Naprawdę. Tak to pamiętam.

Biegnać, wyobrażam sobie różne rzeczy. Często głupie, szczeniackie. A gdybym tak znalazła trupa? Gdzieś w krzakach, na poboczu. Biegnę, biegnę, a tu dłoń. Oczywiście dłoń blada, smukła, kobieca, jak na okładkach kryminałów. Musiałabym wezwać policję, potem czekać, zeznawać. To już by nie był „incydent” tylko „wydarzenie”.

Teraz was zaskoczę. Nie, żadnych kończyn nie znalazłam. Za to któregoś dnia przy starym mostku (z chropowatymi, żółtymi poręczami, o które zawsze się opieram, patrząc w wodę) pojawił się znicz. Duży, plastikowy i zapalony. Nic więcej. Żadnych znaków, z których dałoby się wyczytać jakąś historię.

Biegnać do domu, zaczepiłam rolniczkę, panią Irenkę, która coś tam przygarbiona robiła w polu. Od razu podeszła do drogi, odgarnęła włosy z czoła i zaczęła opowiadać: *Znaleźli w wodzie kobietę, taką miejscową, co koło sklepu miała dom. Ona lubiła (pani Irenka znacząco uderza dłońią w szyję) wypić. Wczoraj patrzę, policyjne samochody migają przy mostku. Okazało się, że ona trzy dni temu zaginęła, a dopiero wczoraj ją znaleźli. Wcześniej pita z takimi różnymi. Kupili wieczerem wódę w sklepie i poszli na stepy.*

– Stepy?

– *Na łąki za mostkiem, tak tu mówimy. Więc pili na stepach. Pewnie wracała po ciemku pijana i wpadła do stawu. Utopiła się. Nikt nie słyszał. Ja przez mostek codziennie furgonem przejeżdżam. Nic nie widziałam. A ona trzy dni w tych szuwarach...*

Irenka dalej gadała i gadała. Teraz już zupełnie o czymś innym.

W drodze powrotnej ciągle myślałam, że dobrze. Że nie znalazłam trupa.

3. Coś słodkiego

Przeczytałam kiedyś, że każdy człowiek ma jedną historię do opowiedzenia.

Moja jest taka. Mam 44 lata. Ale to nieważne, bo to się zmienia. Za to nie zmienia się moja waga. Ciągle ponad 90 kilogramów przy marnym wzroście 160 centymetrów.

I się obżeram.

Mam napady głodu.

Jak tylko mąż wyjdzie z domu (pracuje na zmiany, a córki studiują w innych miastach), zaczynam buszować po szafkach. Szukam słodkiego. I zaliczam upadki. Pewnie nabierało się ich więcej niż tytułowe 622 Witkacego. Wstydzę się strasznie, nieraz płaczę. Ale napiszę o sobie. Przyznam się. Niech ludzie wiedzą.

Potrafię zjeść całą nutellę, raz nawet wyzeratałam ją ze stoika palcem, bo nie miałam w samochodzie łyżki. W szale obżarstwa nie oszczędzam galaretki w proszku i starego kakao (Puchatek).

Tak. Przeszukiwałam na strychu szkolne plecaki i kurtki moich dziewczyn. Wyjadałam stare batony. I karmel smażyłam na patelni (szklanka cukru, trzy łyżki wody). Śmieszne? Pewnie, że śmieszne.

I smutne.

Próbowałam walczyć. Łykałam chrom. Piłam ziołowe herbatki. Byłam u psychiatry, kazał co rano uśmiechać się do lustra i kupić książkę o „potędze dobrych słów”.

Wybrałam się do klubu sportowego. Aby dostać kluczyk do szafki, musiałam zostawić dowód młodej recepcjonistce. Jeszcze jak na złość spotkałam tam koleżankę z podstawówki. Renatę Jakaśtam. Kiedyś była piękną dziewczyną, teraz trudno było ją rozpoznać. Miałam przez chwilę satysfakcję, ale potem, jak stanęłyśmy przed lustrami, okazało się, że wyglądam gorzej od niej.

Nienawidziłam tego Body Fitness. Tego „ABS płaski brzuch” i tej recepcjonistki, która pewnie ze śmiechem oglądała mój dowód. Ale skończył się miesiąc. Skończył się karnet.

I znowu jem. Ostatni herbatnik znaleziony w szafce właśnie zakończył żywot.

I znowu płacę. Z bezsilności. Z nienasycenia. Z rozczarowania. Z całej siebie. Z tego, że nic mnie nie cieszy. Ani majowa pogoda, ani pelargonie na parapecie, ani książki, które dostałam od córek, a których nie czytam. Bo myślę. O wafelkach. O batonach. Ślina napływa mi do ust. Aż mnie wszystko łaskocze.

Mogłabym podjechać na stację paliw i kupić. To niedaleko. Pięć minut. Mąż wróci za dwie godziny. Nikt się nie dowie. Mały upadek. Może nawet nie upadek, tylko potknięcie przed wielkim powstaniem?

Pojechałam.

Kupiłam.

Zrę dwa marsy na leśnym parkingu w wieczornej szarówce. Zębami ściągłam kawałki czekolady z warg. I widzę ją. Biegaczkę. Ciemne legginsy do kolan. Odblaskowa, różowa kurtka z jakimś napisem.

Wesoły robaczek świętojański.

Porusza się jak maszyna w jednostajnym tempie. Łokcie, pośladki, stopy. Odpalam auto. Jadę za nią. Patrzę na szczupłe biodra, długie nogi. Pewnie waży mniej niż 60 kilo.

Styśzy mój samochód. Zbiega na pobocze. Tylko ona i ja. Na tym pustkowiu. Wciskam gaz.

III nagroda (w kategorii proza) w XXII Konkursie Literackim im. Tadeusza Firleja o „Złote Pióro” w Gubinie (2021)

HANNA CIEPIELA: dziennikarka, bibliotekarka, autorka książek. W l. 1991-2003 związana z „Gazetą Lubuską”, od 2003 r. nauczycielka i bibliotekarka w Bibliotece Pedagogicznej Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Gorzowie. Autorka albumów: „Strebejko” (2008) i „Kowalski” (2016), wydanych w cyklu Kolekcja 750-lecia; książki „Zaraz wracam” (2008) o bohaterach gorzowskiej Alei Gwiazd; monografii „40 lat Zespołu Tańca Ludowego Mali Gorzowiacy” (2021) i książki „Galeria Lubuskich Pedagogów” (2021). Od kilku lat pisze opowiadania.

NA TURBACZ

Ferdynand Głodzik

Zakolnymi ścieżkami stromymi wśród lasów,
idą bracia stryjeczni, by zażyć wywczasu;
to się mieniają na stońcu, to w cieniach się kryją,
zawierając swój ciężar wystużonym kijom.

Idą w głębię zieloną zaduszną i skwarną,
by po drodze steranej zagubić niezdarność.
Lato mości polany świetliście, bezgłośnie,
słońce promień przez liście precedza zakośnie.

Lotne muchy błyskliwe na przekór ich doli,
wokół głów tańczą koła wiecznych aureoli;
bujne zioła, co nigdy nie widziały kosy,
stroszą źdźbła zzieleniałe od soczystej rosy.

Czas się krótkim posiłkiem umocnić drobinę,
stołem pień, co odnalazł w cieniu swój spoczynek.
Aż dobrnęli do celu u szczytu Turbacza,
co dziobiastym schroniskiem o niebo zahacza.

Szlak się wije w dolinę jako jęzor smoczy,
chcą coś szczytom powiedzieć, lecz nie wiedzą o czym.
Ledwo oczy nacieszą świetlistym widokiem,
wzdłużne cienie im każą powracać przed zmrokiem.

Popołudnie zachodom niemrawo przyświeca,
ciężar drogi powrotnej dźwigają na plecach;
wśród paproci skrzydlatych, rozświetlnych gałęzi,
trud podwójny utrwała braterskie ich więzi.

FERDYNDAN D GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 r. zadebiutował oficjalnym tomikiem Winien i ma. Wydał również tomiki: „Własnym nosem” (2011), „Szachy na lachy” (2014), „Fredność i przechera” (2016) oraz „Księga imion” (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.

WIADOMOŚĆ

Danuta Szulczyńska-Miłosz

*Leżę na wznak na łące. Jakiś duch po burzy
Wspólnych lotów, w objęciach mocniejszych od stali,
Zaniósł mię tu i złożył – sam odleciał dalej.
Słońce z dłoni omdlałej złoty sen mi wróży! [...]*¹

Wiatr przewiał obłoki na niebie jak kliszę w aparacie. Nadchodził z lewej strony i znikał z prawej, zmieniając w międzyczasie swój kształt. Wszechświat nade mną miał kolor błękitno-biały i pachniał rozgrzaną ziemią, rzeką i obietnicą. Był zapowiedzią ciepłego wieczoru, spotkania przy drewnianym stole pod lipą, smaku miodu, aromatu chleba i świeżo skoszonej trawy. Był zaczątkiem rajy, jego przedśionkiem i bramą do szczęścia. Anka uparcie rwała dmuchawce i maleńkie igielki białego puchu taskotały mnie w twarz.

– Powiemy im dzisiaj?

Odwracam się leniwie na bok. Teraz w twarz taskocze mnie wysoka trawa. Celowo przeciągam ten moment, bo i czas płynie wolno. Tylko tutaj tak potrafi, tylko tutaj czas nie poddaje się wyścigowi i trwa ponad wszelkimi prawami fizyki. Sielanka.

– Powiemy? – puka mnie palcem w plecy, jakby chciała, aby ktoś jej otworzył drzwi.

Siadam i patrzę na jej niewinną twarz. Dla niej wszystko jest takie proste. Układalne. Dające się uporządkować i wpisać w rytm przyrody. Wiosna jest czasem, gdy wszystko budzi się do życia, lato czasem zbiorów, jesień w swoim szaleństwie niszczy to, co tak pięknie wcześniej pokolorowała, a zima jest czasem na odpoczynek. Na zbieranie sił do kolejnych siewów, prac w polu, porządków. Tkwiła w tym naturalnym cyklu życia od zawsze. I od zawsze wiedziała, że na macierzyństwo też jest czas. I ten, właśnie ten, uważała za najlepszy. Obietnica miłego wieczoru pod lipą zaczęła się lekko rozwiewać popychana zachodnim wiatrem. Usiadłem.

– Powiemy...

Zarzuciła mi ręce na szyję. Sam nie wiem, czy bardziej w geście podziękowania, czy bezwarunkowej miłości, którą – wiedziałem o tym z pełnym przekonaniem – do mnie żywiła. Była naiwna jak dziecko, nieskomplikowana i dobra. Anka. Stodkie blond dziewczę, które zapatrzona było we mnie jak ja w obłoki na niebie. Tyle że ja niczego od obłoków nie chciałem. Zachwycałem się nimi prostym uczuciem bez żadnych oczekiwań. I marzyłem o tym, abym sam był tak traktowany.

Delikatnie odsunąłem ją od siebie, chcąc napawać się jeszcze naturą. Chciałem ciszy. Nie tylko tej na zewnątrz, ale i tej, której brakowało mi w środku. By-

¹ B. Leśmian, *Leżę na wznak na łące*, [w:] B. Leśmian, *Poezje wybrane*, oprac. J. Trznadel, Wrocław 1983.

tem chodzącym hałasem, konstrukcją zaopatrzoną w najgłośniejszy na świecie mechanizm, który dudnił mi w głowie i nie pozwalał się wyspać.

– Daj się nacieszyć chwilą.

Powróciłem do pozycji leżącej i wciągałem zapach wilgotnej ziemi. Zapach rumianku, mlecza, koniczyny. Zapach wody, w którym wciąż wyczuwałem wczorajszy deszcz pomieszany z zapachem ryb i mokrych liści wierzby rosnącej w pobliżu. Bukiet pachnący beztruską i zapomnieniem.

– A wiesz, że stryj spod Tomaszowa też dziś przyjedzie?



Znów wizja wieczornej biesiady ukuła zamiast cieszyć. Stryj spod Tomaszowa. Rodzony brat ojca Anki był w ich rodzinie kimś ważnym. Był panem na hektarach, miał własną firmę przetwarzającą owoce, był kimś! Jeszcze i to... Jej rodzice byli już wystarczającym stresem, a teraz dowiaduję się, że armia wroga przybiera na sile.

– Sam?

– No coś ty! Z żoną i z dziećmi!

Cholerne święto. Na razie tylko dla mnie, ale za parę godzin stanie się i dla nich.

– Jak czujesz się z tym, że urodziny twojej mamy zostaną zepsute taką wiadomością?

– Zepsute? Przecież się ucieszą! Ojciec już od kilku lat mówi, że w moim wieku powinnam mieć co najmniej trójkę dzieci.

– W wieku dwudziestu dwóch lat? Naprawdę?

– Oj, nie złość się... Wiesz jacy oni są. I... I będzie dobrze! Zobaczysz!

Tylko czy ja chciałem tego „dobrze”? Czy ja chciałem spędzić resztę swojego życia w wiejskiej chatupie razem z teściami na rozmowach o płodozmianach, nawozach i gnoju.

– Powiedzmy im teraz. Nie czekajmy do wieczora, aż beczka z samogonem twojego ojca będzie pusta.

Radosny pisk spłoszył ptaki, które z głośnym jazgotem odleciały z drzewa. Anka wstała i wygładziła sukienkę. Poprawiła też włosy i strzepnęła resztki trawy z gołych tydek. Była gotowa. Jak zawsze stawiała na wysokości zadania, niezależnie od tego, czy była to konieczność pomocy w gospodarstwie, czy opieki nad chorą babcią. Teraz jednak miałem wątpliwości, których jej brakowało. Przewidywałem raczej wrogość i potępienie na wieść o ciąży przed ślubem, w dodatku z facetem, który nie zamierzał przejść na gospodarskie życie i był ateistą. Nie lubili mnie. A ja nie lubiłem ich. Nie lubiłem ich „jezdem”, ich „trza iść na pole”,

„pozamiatać schódki” i „zamknąć dźwi”. Nie mogłem tego słuchać, nie mogłem ani przez chwilę poczuć się jednym z nich, szanować ich czy kochać. Nie byłem pewien nawet tego, czy ją kochałem. Było mi z nią po prostu dobrze, wygodnie, bezpiecznie. Była pracowita, dobra, posłuszna, oddana. Ale czy to nie za mało na miłość? Nie umiałem zaakceptować jej przywar, jej wiejskiej gwary, prostoty. I wiem, co będzie, kiedy powiemy im o dziecku. Będzie awantura, krzyk, nakłanianie do ślubu i to kościelnego, do zamieszkania tutaj, na wsi. Z żadną z tych rzeczy nie mogłem się zgodzić. Wiadomość o dziecku i ich wrogie nastawienie pozwoli mi jednak całkiem zgrabnie z tego wyjść. Oburzę się, trzasnę drzwiami, a na dziecko będę płać. I tyle.

Spojrzałem na Ankę. Uszczęśliwioną, zarumienioną od stońca, wypełnioną marzeniami. Jej było mi najbardziej żal. Ale przecież jest dorosła, wie, czym kończy się spanie w jednym łóżku lub raczej spanie na sianie w stodole jej ojca. Może planowała to wszystko? Może to miała być pułapka?

Drogę do jej domu pokonujemy w milczeniu, choć czuję, że ona chciałaby mówić. Nie pozwalam jednak na to, ucinając wszystkie próby rozpoczęcia rozmowy.

Dom Anki położony jest na skraju wsi, ocieniony rozłożystą lipą, sąsiadujący z hektarami pól, na których wszyscy zgodnie pracowali. Cały rok. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Świątek, piątek. To nieludzkie. Nienormalne!

Wita nas jej matka. Spracowana, drobna kobieta, która rzadko się odzywa. W ogrodzie pod lipą siedzą już: ojciec, bracia, wuj z żoną i dziećmi. Tylko ona wciąż biega, donosząc kolejne rzeczy na stół. To jej święto, ale nikt tego nie zauważa. To też mnie denerwuje, tylko czy... czy ja nie byłbym przypadkiem taki sam?

Podejmuję decyzję. Teraz albo nigdy. Siadamy z Anką obok jej kuzynów i czekamy, aż drobna kobieta usiądzie ze wszystkimi. Idzie. Stawia na stole półmisek z wędlinami własnego wyrobu. Pachną obłędnie. Obserwuję zgromadzonych ludzi. Prostych, spracowanych, nieskomplikowanych. Widzę ich radość na twarzach, mimo zmęczenia, mimo gorąca. Widzę też coś jeszcze. Pośród tych wszystkich przekomarzanek, chaosu, uspokajania dzieci, narzekania na suszę, znajduję w nich poczucie spełnienia. Poczucie dobrze spędzonego czasu, dobrego życia, słuszych decyzji. Nagle zauważam w ich gestach, surowych i szorstkich, miłość. Wyższe uczucie, do którego – w moich podejrzeniach – nie byli zdolni. Jeszcze nie wypilem, a już szumiło mi w głowie. To niemożliwe, coś się nie zgadza...

Po pierwszym toaście za zdrowie gospodyni (toast wzniesiony bimbrem, bo jakżeby inaczej) wstaję z zamiarem wygłoszenia naszej nowiny. Anka też chce się podnieść, ale wzrokiem przywołuję ją do powrotu na miejsce.

– Drodzy państwo – zaczynam, ale przerywa mi wybuch śmiechu.

– Jacy „państwo”, daj pan spokój, sami swoi!

– Drodzy państwo – nie daję się zbić z pantałyku – mamy z Anią wiadomość. Nie chciałbym psuć zabawy ani przedłużać tego momentu w nieskończoność, po-wiem więc prosto z mostu, jak swój do swego...



Prawdę mówiąc, nie uważałem się za swojaka, ale jakoś trzeba było brnąć w ich semantykę.

- Mów! – jeden z kuzynów klepnął mnie w plecy tak, że prawie upadłem na stół. – Mów, chłopie!
- Ania jest w ciąży.

Dlaczego nie powiedziałem: „Będziemy mieli dziecko”? Widocznie moja świadomość przyswajała tylko ten fakt. Że Anka jest w ciąży.

- Cisza, która zapadła, wydobyła na powierzchnię wszystkie dźwięki wiosny. Bzyczenie owadów, warkot maszyn, które pracowały w polu, klekot bocianów. Ale tylko na chwilę, bo dosłownie po minucie zaczęło się poruszenie. Nie mogłem niczego wyłowić z potoku słów i pytań, stałem jak ogłuszony. Spodziewałem się wrogości i na nią czekałem. Spodziewałem się oburzenia i wołania o pomstę do nieba, ale niczego nie mogłem z tych słów zrozumieć. Jakby czas stanął w miejscu. Czekałem tylko na moment, w którym zleci się tu cała wieś z widzami, przy pomocy których wyniosą mnie ze wsi, jak dokończę wypowiedź. O tym, że znikam. Że słu-bu nie będzie. Na razie jednak czekałem. Niech oswoją się z myślą o nieślubnym dziecku. Za dużo na raz też niedobrze... Wyłowilem wreszcie głos jej ojca.
- I co zamierzasz zrobić z tym fantem, kawalerze?

Widzę tylko oczy Anki wpatrzone we mnie tak bardzo, jakby świat przestał istnieć. Był w nich taki bezmiar miłości, że mógłbym się w nim zanurzyć i utonąć. Miłości, nadziei i strachu. Nie myślę już o wrogim nastawieniu do mnie, nie myślę o pogardzie, jaką mnie darzą. Widzę tylko to szczerze uczucie.

– Swoje już zrobił – wuj raczył zabrać głos. – Teraz trzaśnie dźwiami i ucieknie.

Ucieknie? Patrzę na Ankę, którą znam zaledwie od pół roku. Patrzę na obcych mi ludzi, którzy czują się ze sobą tak bardzo swobodnie, że nikt nikogo nie upomina za chamskie odzywki. Anka ma łzy w oczach, ale siedzi jak skamieniata. Nie odzywa się, nie spuszcza głowy, nie całuje ojca w rękę, jak to ma w zwyczaju, gdy zrobi coś nie po jego myśli. Cały czas patrzy tylko na mnie. Ona już wie, przeczuwa najgorsze. Pomimo naszego sielankowego poranka wśród pocatunków i pieszczot wie, co chcę powiedzieć. Pomimo jej siły wydaje mi się teraz krucha i bezbronna jak dziecko. Przyczepiłem się tych „dźwi”.

– Mówi się „drzwi”. Mówi się: „schodki”, nie „schódki”.

Patrzę na mnie, nic nie rozumiejąc, a mnie puszczają nerwy. Widzę, jak kobiety uspokajają swoich mężów, jak dzieciom każą iść się bawić gdzie indziej, widzę jak podwijają rękawy koszul. Lincz? Trzęsą mi się ręce, kiedy i ja zdejmuję marynarkę. Oni jednak nadal siedzą. Ojciec uzupełnia kieliszki. Teraz widzę jeszcze wyraźniej, jak bardzo są zżyci, jak bardzo czują się rodziną, jednym organizmem, jednym wieloosobowym bytem. Wstępuje we mnie jakiś duch przekory. Coś, czego nie zdołałem nigdy pojąć.

– To co? Na zapowiedzi chyba trza dać... Skoro tu już jezdem...

Pierwsza uśmiechnęta się matka, za nią jej mąż. Po chwili śmieją się wszyscy. Tylko Anka płacze i bez żadnych zahamowań wyciera łzy w moją koszulę.

*[...] Wrażenie barw i szumów i bezdennych światów,
Zmieszane w jedność, niby w stworzenia pradobie,
Oddziela się ode mnie, jako woń od kwiatów,
I trwa już ponadem mną – i już samo w sobie!*

*A chociaż ze mnie wyszło – należy nie do mnie,
Lecz do wszystkich chmur, słońca przerażonych marą,
Do bezkresów, do nieba jasnego ogromnie,
Co na mnie – niewiernego – patrzy z taką wiarą!..²*

DANUTA SZULCZYŃSKA-MIŁOSZ: pisarka, recenzentka i nauczycielka. Urodziła się w Trzcianku-Zdroju, ale od wielu lat jest związana z Gorzowem. W swoim dorobku ma publikacje w „Pograniczach” oraz „Dyskursie”. Jest autorką recenzji zewnętrznej oraz postawia do nominowanej do Nagrody Literackiej NIKE „Księgi ocalonych snów” Krystyny Sakowicz. W 2022 r. wydała swoją pierwszą powieść „Podszepty”, którą w czerwcu promowała w Książnicy Herberta.

² Tamże.

ESKAPADA DO LASU

Łucja Fice

Od jakiegoś czasu bawię się w detektywa, próbując rozszyfrować pewną tajemnicę. Szukam wiedzy w necie, wykonuję telefony, szukam książek na temat pracowników przymusowych w III Rzeszy. Jak myśleć i pisać o wojnie, której się nie doświadczyło? Jak pisać o strachu, przemocy, gwałtach, upokorzeniach, głodzie, tęsknocie, gdy ma się wiedzę z opowiadań świadka i wiedzę historyczną z książek? Czy mam prawo ubierać zdania w metafory i karmić czytelnika nadzieją, że to się już nigdy nie powtórzy? W obliczu wojny w Ukrainie i sytuacji na świecie śmiejem twierdzić, że jednak historia na okrągło się powtarza. Jestem zmęczona tematem wojny, która wylewa się z mediów, a nawet cieknie z mojego kranu. To był znaczący powód, bym tego upalnego dnia odpoczęła psychicznie, opuściła swoje cztery kąty i zrelaksowała się w dzikim miejscu. Chciałam zwrócić uwagę na wzajemną zależność pomiędzy Naturą a moim umysłem. Teraz wiem, że podświadomie chcę się ustrzec przed czymś, co może dopiero nastąpić, a sekundowe przebłyski czegoś niespodziewanego tłą się w mojej głowie. Pogoda zapraszała do lasu. Na tej długiej wycieczce omal się nie zgubiłam jak w jakiejś dżungli. W tym ryzyku zagubienia się doznałam odczucia, jak bezosobowo działa na mnie Natura. Było to spontaniczne doznanie cierpienia skóry na zewnątrz i gdzieś w środku. Odkryłam, jak wielką tajemnicę, że źródło strachu było tylko w mojej głowie. Postanowiłam trzeźwo spojrzeć na tę kwestię, tak jak trzeźwa jest w każdej chwili natura lasu. Przecież drzewa się nie boją. Wróciłam cudnie odprężona, zresztą jak zawsze po długich samotnych wyprawach. Zawsze wtedy odchodzi ode mnie poczucie zablokowania, tego wewnętrznego zapchania brudnymi myślami. Odczuwam wtedy rozluźnienie, fluktuacje niewidzialnej energii, co wzmacnia w sposób fizyczny moje ciało. W sercu obserwuję te metafizyczne zmiany, aż po pustkę w umyśle. Uwielbiam takie momenty, kiedy nie pływam w tej zupie strachliwych myśli, bo wówczas daję uwagę czemuś doskonałemu, czemuś, czego sama nie rozumiem, a co pochodzi od Matki Natury. Tak działa na mnie las, który potrafi wprowadzić mnie w lekki stan uśpienia, podczas którego odbieram wrażenie, że drzewa leczą mnie hipnozą, choć niezupełnie jest to hipnoza, bo moje oczy odbierają nieskażony jeszcze obraz przyrody. Nie jestem w stanie pominąć orgii leśnych barw i zapachów, tego tańca leśnych żyjątek, na które zawsze zwracam uwagę, począwszy od koron drzew do samej ściółki. Te krągłości drzew i zresztą całej Natury zawsze wprowadzają mnie w nowe zdumienie, jakbym była w lesie po raz pierwszy i dopiero teraz zauważyła, że wszystko jest okrągłe. Demokryt miał rację, że nic nie jest proste w swej atomowej strukturze. Kiedy w tej chwili tak stylizuję duchowe wrażenia, nic nie jest dla mnie ważne. Żadne tajemnice świata, polityka, ekonomia czy wojna w Ukrainie.

Nie mam zamiaru, by stowo wojna odebrało mi przyjemność formułowania subtelných, kwiecistych myśli. Będzie dobrze, będzie dobrze. Choć wojny dobrze zaplanowane, to myślę, że doczłapię do naturalnej, wyznaczonej mi przez przeznaczenie śmierci. Takich kwiecistych myśli życzę tym, którzy mnie czytają, i tym, którzy nie czytają. Jak świat wypięknieje w naszych głowach, to może wypięknieje też w tej materialnej rzeczywistości 3D.

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarkach pracujących w Europie po 2004 r. („Przeznaczenie”, „Wyspa starców”, „Za kryształowym lustrem”), oraz wspomnień „Druga strona grzechu” i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu *Emigrantki własnym głosem* na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.



OSTATNIA PRYZSTAŃ

Eliza Chojnacka

Niobe została sama ze wspomnieniami o mężu. Mogła teraz do woli wyobrazić sobie jego sine zmaltretowane ciało, gdy nagle usłyszała głos, który doszedł do niej jakby z zaświatów:

– Dzień dobry pani.

Gdy odwróciła wzrok, tuż za jej plecami przechodził dystyngowany starszy mężczyzna.

– Dobrze panią widzieć – dodał, a z jego strony powiało przyjemnym ciepłem, które choć na chwilę zdominowało przygnębiającą aurę cmentarza, wypełniając ścieżki pomiędzy grobami.

– Dzień dobry... – odpowiedziała zdławionym głosem.

Przypomniała sobie, że znają się ze szkoły, w której kilka lat temu razem pracowali. Wiedziała, że mężczyzna pochował żonę, w ten sposób po śmierci Winca stali się sąsiadami dzielącymi tę samą działkę cmentarza.

– Zawsze to jakieś towarzystwo – pomyślała, odprowadzając go wzrokiem, po czym niemal natychmiast odwróciła się tyłem, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na rozmowę.

– Mam nadzieję, że ma się pani już lepiej, bo martwiliśmy się o panią z żoną – mówiąc to, skinął głową w stronę płyty nagrobnej. – Opowiadałem jej o całym tym bardzo przykrym wydarzeniu, jest przejęta podobnie jak ja – mówiąc to, jego oczy jakby się uśmiechnęły, jakby chciał wydobyć z siebie rodzaj ulgi, którą chciał ją obdarować. – Dobrze, że pani wróciła cała i zdrowa, bo moja żona nie potrafiła tego zrobić. Szpital niestety jej nie pomógł. Myślę, że jego aura jest przekłeta, o czym wspominają byli pacjenci. Sam byłem świadkiem jednej z rozmów, w której młody mężczyzna opowiadał, że nocami na pustych korytarzach słysząc płacz – gdy to mówił, wyraźnie był poruszony. – Przyzna mi pani rację, że dusze tych nieboraków pętają się po salach w poszukiwaniu leku na spokój, którego nie potrafili zaznać za życia.

Niobe skinęła potakująco głową, po czym niemal natychmiast przypomniała sobie, gdy będąc jeszcze w szpitalu, zalewała się w łzami z byle błahych powodów. Wzruszały ją najprostsze rzeczy, o czym często rozmawiała z lekarzem, to znów mówiła, że u niej wszystko w porządku. Gdy popadała ze skrajności w skrajność, psychiatra zlecał jej terapię żałoby lub terapię gniewu w grupach – do wyboru, a gdy odmawiała, proponował, by płakała, gdy tylko tego potrzebuje. Była przekonana, że nie potrafi jej pomóc, lecz po kilku dniach wiedziała już, że miał rację, w ten sposób z dnia na dzień powracała do niej radość życia. Pocieszenia szukała również w sztuce i literaturze, a także o dziwo w religii, chodząc niemal systematycznie do kaplicy kościelnej, w której, będąc jeszcze w otępieniu i malignie, przystępowała do spowiedzi.

– Za mało kochałam – powtarzała duchownemu, przyznając się do zaniechania.

Często niemal obsesyjnie prosiła go o modlitwę za duszę męża, powtarzając wszystkie przykazania, a szczególnie piąte: Nie zabijaj. Najgorsze dla niej były napady lęku podczas spacerów, za pierwszym razem pomógł jej pielęgniarz, to właśnie wtedy zaprzyjaźniła się z mężczyzną, który szybko udowodnił, że jej życie zatrzymało się jak schody ruchome lub jak winda, która już nie reaguje na naciśnięcie guzika start.

– Warto się czasem zatrzymać, przeanalizować życie, to pomaga – mówił, a w jego spojrzeniu oprócz zwiększonej uwagi, przemknął cień troski.

Zwierzała się mu często, mówiąc, że jej stopy zastygły i że nie może zrobić kroku w przód ani w tył, a gdy to powtarzała, po jej bladawej i zmęczonej twarzy przebiegł bolesny prawie niepokój.

Nierzadko gniew budził w niej poczucie winy i odwrotnie, a wyraźnie wyniszczające ją uczucia przeplatały się przez kolejne dni. Nocami nawiedzały ją sny związane z dzieciństwem, przez co budziła się o stałej porze, by je analizować. Szczególnie te o matce, która, nie chcąc z nią rozmawiać w wielu marzeniach sennych, odwracała od niej ostentacyjnie głowę. Męża – choć bardzo tego chciała – nie spotykała nawet w snach.

– Straciłam z nim zupełnie kontakt – powtarzała z przygnębieniem terapii.

– Czy będę zbyt nietaktowny, kiedy powiem, że trzeba żyć tym, co się ma, a nie tym, co się straciło? – gdy pytał, wpatrywała się w niego bez słowa swoimi piwnymi, nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami. – Religia robi swoje – mówił z przekąsem – w ten sposób nasiąkam nadzieją, a gdy odparuje, usychamy z niespełnienia – wychodząc z gabinetu, na odchodne dodawał:

– A mówią, że tęsknota to słowo zużyte.

– To wieczne poszukiwanie udziela się chyba każdemu z nas – usłyszała ponownie głos nauczyciela, który grą fizjonomii zdradzał charakter żywy i nerwowy. – Choć większej części tylko w marzeniach, bo widzi pani, gnijemy tu wszyscy. Gniłi dziadkowie i rodzice pana Wincentego, później nawet on sam i choć na chwilę wyjechał do Krakowa, niestety jak bumerang wrócił, a teraz pora na Franciszka. Żal mi chłopaka, że dźwiga ten cały ciężar rodziny – mówiąc to, z wyraźnym wyrzutem spojrzął na bladą twarz Niobe.

Doskonale znała powtarzane przez sąsiadów, utrwalane w niej od lat ich historie rodzinne. Za każdym razem z grzeczności słuchała, nie przerywając zmienianych co rusz wątków. Jednak główna linia często zbyt energicznie i nerwowo prawionych opowiadań była stała, a mianowicie mówiono, że rodzina Wincenta ma swoją mroczną historię.

– To niemal jak każda – odpowiadała wtedy z wyraźną pretensją w głosie.

– Po raz kolejny muszę dowiedzieć się, że tkanka rodziny mojego męża jest szczególnie zepsuta – pomyślała, pokornie czekając na dalszą część monologu.

– Widzi pani – mężczyzna niemal natychmiast rozpoczął wykład. – Z pozoru wykształceni ludzie imali się kontrowersyjnych zajęć, dziadek Wincenta był lekarzem w tutejszym szpitalu psychiatrycznym – ale to pewnie pani wie – i nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby jego praca dotyczyła jedynie leczenia chorych. On jednak z powodzeniem współpracował z przybyłymi do placówki hitlerowcami, zapewniając pacjentom na ich polecenie tak zwaną taskawą śmierć. Nie zrezygnował z etatu jak jego bliscy współpracownicy, tylko z wielkim zaangażowaniem tworzył listy z nazwiskami chorych psychicznie dzieci lub fizycznie niedorozwiniętych, traktując to zajęcie jako udział w doświadczeniu naukowym. Większość ofiar eksperymentów medycznych i innych zbrodni leży po dziś dzień w zbiorowej mogile na terenie szpitala, widziała pewnie pani tabliczkę z napisem: *W tym szpitalu hitlerowcy wymordowali w latach 1942-1945 ponad 1000 chorych różnej narodowości, w tym również dzieci* – mówiąc to, nawet nie patrzył w jej stronę, ewidentnie był w trakcie prowadzenia lekcji – pozostała część pacjentów została zakopana w przyszpitalnych lasach, czyli tam, gdzie nigdy nie zapłonął i nie zapłonie żaden znicz. Pani teść, który dobrze czuł się w stalinowskiej Polsce, miał trochę bardziej humanitarne zajęcie: do czasu ogłoszenia amnestii stwierdzał zgon skazanych na karę śmierci.

– Znam te historie – mówiąc to, wyraźnie chciała przerwać wywód. Doskonale pamiętała, gdy podczas jednej z kolacji Winc opowiadał jej o nienaturalnym drzeniu skazanych oraz o ich problemach z mową i często rozbieganym wzrokiem. – Skazańcy ze spojrzeniem zaszcutego zwierzęcia, stąpając po kamiennym chodniku, szli korytarzem śmierci, który kończył się zardzewiałymi drzwiami prowadzącymi wprost do tak zwanego magazynu – opowiadał. – Stopnie, pętla i maska – doskonale pamiętała trzy słowa, które często jej powtarzał. – W ponurym pomieszczeniu, gdzie nawet latem panowała wilgoć i chłód, znajdowała się sala egzekucyjna. Idący tam więźniowie żartowali, że zmierzają na wizytę do magazynu. Ojciec opowiadał, że zanim zakryto skazanemu oczy, ten głośno wypowiadał słowa modlitwy lub przepraszał, zdarzało się również, że na koniec bluźnił, przeklinając komunistycznych towarzyszy. Później więzień zamykał oczy, po czym nakładano mu worek na głowę, a wtedy otwierała się zapadnia i jedyne co było słychać, to chrupnięcie kręgow szyjnych, po czym mój ojciec stwierdzał zgon – mówiąc to, Winc nie przejawiał skruchy ani żadnych emocji. Niobe zapamiętała szczególnie jego posągową twarz.

Dłuższą chwilę stała jak słup, na który kapaly pojedyncze krople deszczu, była jak nieobecna, co jakiś czas jednak budziły ją kolejne słowa nauczyciela.

– Ewidentnie ma wprawę w mówieniu – myślała, zaraz potem stając się słuchaczem jego dalszego wywodu. – Saga rodziny ciąży na chłopak, aż go żal. Powinien czym prędzej stąd wyjechać, ja bym mu tak radził, szczególnie, że powiew Zachodu wyraźnie zapomniał o naszej mieścinie, co nie zmienia faktu, że młodzież i tak cuje go w trzewiach,

dlatego część z nich już stąd wyfrunęła. Franciszek powinien zrobić dokładnie to samo. Oprócz banerów i zapowiedzi inwestycji nic się tu od lat nie dzieje, do tego dochodzi pogłębiające się bezrobocie, co widać gołym okiem po domostwach, bieda ciągnie się ulicami, jakby faktycznie kapitalizm o nas zapomniał. Z czasem i chłopak zacznie się zmieniać i uzależniać od miejsca jak my. Dziś na szczęście w naszym kraju przepaść pokoleniowa wyraźnie istnieje, z czym pewnie pani nie raz się spotkała. Przepraszam, że to mówię, ale doszły do mnie słuchy, że pasierb nie odwiedzał pani w szpitalu, to smutne – mówiąc to, współczująco ściszył głos po to, by po chwili bez oporów kontynuować – Prawdopodobnie za ścianą jego młodości buzuje już zupełnie nowa jakość, która w jakimś stopniu potrzebuje wrażeń i zmian, choć z drugiej strony pani jest z Zachodu, to praktycznie kontakt z nim powinien być łatwiejszy, szczególnie że obcokrajowcy do naszego kraju przynoszą posmak modernizmu i nowości, czyli powinniśmy iść na przód. No chyba że zaczęła mu się pani kojarzyć z kłopotami ojca i z tym naszym polskim odwiecznym pesymizmem, aż tylko patrzeć, sam się nim w końcu zarazi, szkoda młodzieńca – mówiąc to, pokręcił na znak niezgody głową, po czym spojrzał na grób żony i dodał: – My dajemy wnukom możliwości, by korzystały z pozytywnych przemian, z otwartych granic, jeden mieszka w Niemczech, uczył się tam, a drugi w Krakowie. Zawsze im tłumaczyliśmy, że poza granicami istnieje jakiś model umysłowej odwagi, dlatego pani jest naszym prezentem zagranicznym.

- Dawno nie zrobiło jej się tak przyjemnie, czego nie potrafiła nawet ukryć.
- Dziękuję – odpowiedziała mile zaskoczona.
 - Nie ma za co dziękować, taka jest prawda. Powinna stać się pani szczególnie dla niego impulsem do zmiany. – Gdy to powiedział, wyraźnie zmęczony usiadł na zawilgoconej ławce, po czym dodał – W naszym pokoleniu tliły się marzenia jak te znicze, które szybko gasną, zbyt szybko. Wtedy przychodziła myśl, że za naszego życia nic dobrego i tak nie nastąpi. Gdy człowiek wracał do domu, zadawał sobie pytanie: *Mój Boże, tak ma wyglądać moje życie?* – mówiąc to, rysował końcem parasola na mokrej ziemi kreski, jakby zaczął w ten sposób odmierzać czas do końca ich rozmowy. – Bo widzi pani – kontynuował. – Najgorzej jest utknąć w takim miasteczku, to trochę jak wyrok. Przez lata tak bardzo wrastasz w tkankę pipidówki, że trudno się już ruszyć, do czasu aż przesiąkasz małomiasteczkowymi problemami na dobre. Wiem, co mówię, bo utknąłem tu i nawet śmierć żony nie dała mi odwagi, by opuścić to miejsce – zamilkł na krótką chwilę. – Choć wyraźnie nasze społeczeństwo zbudziło się z mitologicznego snu i wkroczyło w rzeczywistość, sama pani widzi jaką, pozbawioną empatii i skrupułów, zatarły się wartości, które niosły nas przez cały okres przemian. W naiwności stąpaliśmy po niepewnym i kruchym wtedy gruncie, by w końcu wpaść po szyję w bagno – mówiąc to, rozejrzał się po błotnistym terenie i wtedy dodał: – Dostownie. Toniemy w błocie niezrozumienia, człowiek człowiekowi wilkiem. Nasza wspólnota i nasza współpraca rozprysły się na kawałki. Stronimy od siebie niczym najwięksi

wrogowie. Niech pani spojrzy na tę osobę – skinął głową na zbliżającą się w ich stronę kobietę. – Wyraźnie czerpie przyjemność z cudzego bólu. Chodzi na pogrzeby – wszystkie.

Zamilkł na chwilę, jakby zbierał siły do dalszej rozmowy lub czekał, by kobieta oddaliła się.

- U męża też była – wtrąciła ściszone głosem Niobe.
- Byłbym zdziwiony, gdyby nie. Toż to dla niej sensacja. Takie kobiety i ich zachowanie to efekt nieudanych przemian – mówiąc to, zaśmiał się pod nosem. – Efekt uboczny oczywiście. Z wielkiej solidarności nastąpiła wielka obojętność, w której nie liczą się czyjeś uczucia.
- Może nie jest tak źle... – sama była wyraźnie zaskoczona swoimi słowami.
- Nie? – zapytał wymownie mężczyzna. – Wie pani, można patrzeć przez różowe okulary, ale co to da?
- Nadzieję?
- Znowu? Nadzieja – uśmiechnął się, po czym dodał: – Ale skoro tak pani mówi, z nadzieją było nam zawsze do twarzy.
- Wiem, nim tu przyjechałam, sporo książek czytałam o waszym kraju.
- I jak konfrontacja? – zapytał złośliwie.
- Różnie – odpowiedziała ku jego zaskoczeniu. – Pewnie podobne rozczarowania czułby pan, będąc w moim rodzinnym kraju.
- Tak, bo książka to pobożne życzenie autora – mówiąc to, zamyślił się na krótką chwilę, po czym dodał – Mimo wszystko, gdybym był młody, nie tkwiłbym tutaj. Dlatego dziwię się, że pan Wincenty z synem i panią tu powróciliście. Choć chłopak nim tu zwiędnie, mógłby się jeszcze uratować. Gdy to powiedział, spojrział w stronę bramy cementarnej, jakby go już wypatrywał. – W tym – przepraszam za słowo – zadupiu, gdyby nie rzeźnia pani męża, nie byłoby nawet pracy, szpital, podziemne korytarze oraz park krajobrazowy – ot, całe miejskie skarby, a do tego zero przemysłu, a z turystyki to i Salomon nie należy. A jak wiadomo, człowiek pogrążony w bezrobociu to i brzytwy się chwytą, dosłownie. A mąż leży tutaj, więc miasteczko znalazło się razem z panią i chłopakiem na zakręcie, mówiłem, że jesteśmy ze sobą zespawani? Tak właśnie się tu grzęźnie.

Wzdrygnęła się na słowa mężczyzny, który pospiesznie dodał:

- Choć pani to się szczerze dziwię, nawet pani piękne imię – Niobe, nie pasuje tutaj.

Gdy to powiedział, z daleka dostrzegł zbliżającego się Franciszka.

- Życzę pani dokonania trafnego wyboru – po tych słowach stanął tuż za niewielkim ogrodzeniem i zatopił się w modlitwie.

ELIZA CHOJNACKA: mieszka w Barlinku. Autorka powieści psychologicznych, blogerka, specjalistka od marketingu. W 2008 r. otrzymała „Literacką przepustkę Zwierciadła”. Autorka trzech powieści: „Nieporządna”, „Sinicuik” oraz „Placebo”. Obecnie pracuje nad powieścią „Niobe”, z której fragment zamieszczamy w tym numerze.

DRYFUJĄC PO WSCHODNIM POGRANICZU

Magda Turska

ROZMOWA Z AGNIESZKĄ RYBAK I ANNĄ SMÓŁKĄ, AUTORKAMI KSIĄŻKI „KRESY. ARS MORIENDI”, KTÓREJ PROMOCJA ODBYŁA SIĘ 13 MAJA W KSIĄŻNICY HERBERTA W GORZOWIE.



Dwułtós w reportażu to trudna rzecz. Jak udało się paniom stworzyć wspólnie dwie książki, które dopieszczone i o dziwo jednolite, sprawiają wrażenie, jakby je napisał jeden autor?

Anna Smółka: Już w czasie naszego pierwszego spotkania w małej kawiarni niedaleko parku w Łazienkach okazało się, że nie tylko podobnie myślimy o Kresach, ale i podobnie czujemy. To klucz do udanej współpracy. Każda z nas miała inny bagaż kresowych doświadczeń. Agnieszka robiła wywiady z kresowiakami, choć sama jest rodowitą warszawianką. Co rusz natykała się na zaskakujące dla niej opowiadania, takie jak relacja pani Mars o codziennej wysyłce samolotem truskawek z plantacji w majątku rodziców w województwie lwowskim do Harrodsa w Londynie. Ja mam kresowe korzenie z Nowogródzczyzny i dostałam w posagu tajemnicze, krwawe wydarzenia, o które moją babkę znad Szczary nie pozwalamo mi pytać, ponieważ wyszła z wojny z ciężką traumą po stracie ojca (ona sama została wtedy aresztowana przez NKWD), brata i męża oraz po wygnaniu ze stron rodzinnych. W czasie kolejnych narad mozolnie rodziła się koncepcja dwóch książek: „Kresów. Ars moriendi” – o umieraniu Kresów, i „Wieża Eiffła nad Piną” – o ich odbudowie. Pierwotnie miało być tylko o finis Poloniae, ale w trakcie zbierania materiałów odkryłyśmy tak wiele ciekawych i zupełnie zapomnianych historii o inwestycjach na Kresach, że narodziła się z tego kolejna książka.

Spędziłyśmy ze sobą mnóstwo czasu, przemierzając setki kilometrów w drodze na Polesie, Podole, Wołyń, Żmudź, do Wilna i Lwowa. Rozmawiałyśmy o listach, pamiętnikach i urzędowych pismach skopiowanych w archiwach, analizowałyśmy przeprowadzone wywiady, oglądałyśmy zdjęcia nieistniejących domów, ulic. Powoli zaczęły wyłaniać się kontury przyszłego tekstu.

W Tygodniu Bibliotek gorzowska Książnica gościła panie na arcyciekawej promocji. Zarówno Agnieszka Rybak, jak i Anna Smółka to urodzone mówczynie. Skąd dar krasomówczy? Czy to geny? Czy reportażysta nie powinien li jedynie być słuchaczem, ponieważ w pań przypadku wydaje się, że jesteście również wybitnymi opowiadaczkami? Jak wyglądają rozmowy z bohaterami reportaży?

Agnieszka Rybak: Przede wszystkim wymagają kontaktu osobistego. Pojawiamy się w czyimś domu niezależnie, czy jest on nad Niemnem, czy nad Odrą, dwie całkiem obce kobiety, siadamy nad parującą herbatą, dyskretnie układamy na stole dyktafony i szukamy nici porozumienia, pozwalającej przejść do delikatnej sfery historii rodziny. Z punktu widzenia dzisiejszego tempa przetwarzania informacji w dziennikarstwie to metoda bardzo staroświecka, wymagająca mnóstwa czasu i pieniędzy. W takiej atmosferze wywiad zamienia się w wieczór wspomnień, gospodarze wyciągają z szuflad zdjęcia i dokumenty, często mające status relikwii rodzinnych i stanowiące, niczym pięć dróg świętego Tomasza z Akwinu, dowody na istnienie kresowego świata.

Tak było na przykład w czasie wizyty w Magdalence pod Warszawą u pana Krzysztofa Orłowskiego. Wykonał on ogromną pracę, pieczołowicie zbierając dokumenty i relacje ustne dotyczące swoich przodków z Berdyczowa, nawiązał kontakt z ukraińską częścią rodziny, a potem ze szlachecką hojnością wyłożył przed nami na stół swoje zdobycze. Opowiadał z werwą, nie omijając drobnych grzechów i ułomności krewnych, przez co stanęli nam przed oczami ludzie z krwi i kości. Chcieli żyć i mimo że pochodzili z wierzącej polskiej rodziny, próbowali się jakoś wpasować w system bolszewicki, a nawet robić w nim kariery. Na nic się to nie zdało – spośród pięciu braci Orłowskich czterech rozstało rozstrzelanych w wyniku tzw. operacji polskiej NKWD, czyli masowych mordów na Polakach w ZSRR w latach 30.

Bezcenne są dla nas dzienniki i pamiętniki, dają dostęp do uczuć i myśli opisywanych przez nas postaci. Anka dostała od kolegi wspomnienia jego ciotki Genowefy z Oziewiczów Gabriałowiczowej. To z wielkim talentem opisana historia dziewczyny z drobnoszlacheckiej rodziny z zaścianka Lenkowszczyzna w powiecie Mołodeczno urodzonej w 1927 roku i wywiezionej z rodziną w 1952 roku do Uzbekistanu – te powojenne deportacje Polaków są bardzo słabo znane. Po przeczytaniu tekstu pojechałyśmy do pani Genowefy do Kostrzyna nad Odrą i miałyśmy wrażenie spotkania kogoś dobrze nam znanego. A kiedy w zniszczonym bloku w Radoszkowiczach na Białorusi otworzyła nam drzwi do mieszkania

jej krewna i słysząc: „My od Genowefy Oziewicz”, wybuchła płaczem, mocno nas przytulając – przez tę jedną chwilę stałyśmy się częścią rodziny Oziewiczów.

Wiele osób z tej rodziny po 1945 roku osiedliło się w Gorzowie Wielkopolskim.

„Każdy ma trupy w szafie” – czy to znaczy, że znajdujecie panie historię, tzw. story, tam, gdzie inni nie dostrzegają odpowiedniego tematu? Czy mogłyby panie zdradzić receptę na wciągający majstersztyk literacki z typu tych, które macie w dorobku?

Agnieszka Rybak: Nasze książki są wynikiem połączenia warsztatów historyka i dziennikarza. Ja przez wiele lat byłam dziennikarką, Anka jest z wykształcenia historykiem. Kiedy wysypywałyśmy przed sobą znalezione fakty i postacie, trzeba było uważnie je oglądać i znaleźć te z największym potencjałem dramatycznym, a jednocześnie reprezentatywne dla zdefiniowanych przez nas wcześniej jako kluczowe wydarzeń historycznych. Następnie musiałyśmy upewnić się, że mamy dostateczną liczbę wiarygodnych źródeł. A z tym nie zawsze było łatwo, bo sięgamy do zdarzeń czasem nawet sprzed 200 lat i było to najmniej łaskawe 200 lat dla polskiej spuścizny na ziemiach wschodnich.

Najbardziej pociągającą formą dla nas był reportaż historyczny, ale też wymagał benedyktyńskiej pracy. Na przykład, pisząc o odbudowie spalonego w 80 procentach Brześcia i życiu codziennym urzędników walczących o przydział jakiegokolwiek kąta do spania – ten rozdział znajduje się w „Wieży Eiffła nad Piną” – spędziłyśmy dwa dni w archiwum w Brześciu, a wcześniej przegrzebałyśmy masę przedwojennej prasy. Przy okazji odkryłyśmy, że Brześć został stolicą województwa poleskiego trochę przez przypadek. Śledziłyśmy rozpaczliwe próby przekonania Poleszuków do budowy domów z gliny, co miało być odpowiedzią na brak drewna z powodu gigantycznych zniszczeń lasów w czasie I wojny światowej. Obserwowałyśmy dyskusje, które z budynków w Brześciu należy odbudować, a które wyburzyć, ponieważ, jak pisała specjalna komisja, są ohydne i mają jaskrawe rosyjskie fasady. Brak lokali spowodował, że dyrektor biura odbudowy Polesia dostał wiadomość, że ma sobie wyporządzić pokój obok swojego gabinetu i w nim zamieszkać. Odtwarzaliśmy mozolne prace nad budową osiedli dla urzędników państwowych – zabiegi o wykup ziemi, debaty architektów nad odrodzeniem stylu narodowego, powstawanie pierwszych projektów osiedla imienia Gabriela Narutowicza. A na koniec pojechaliśmy je obejrzeć, bo osiedle, bardzo piękne, stoi do dziś.

„Kresy. Ars moriendi” zaskakują doborem tematów, osób, którym są poświęcone poszczególne reportaże. Czym kierowały się panie, dokonując selekcji wątków podejmowanych w utworze?

Anna Smółka: „Kresy. Ars moriendi” miały opowiedzieć o finis Poloniae na Kresach – długim procesie agonii zapoczątkowanym rozbiarami Rzeczypospolitej Obojga

Narodów. O wojnie z Rosją – i carską, i bolszewicką – toczoną przez spadkobierców Rzeczypospolitej o zachowanie swojej tożsamości. I o tym, jak nowoczesne nacjonalizmy wdarty się do życia mieszkańców tych ziem, dzieląc rodzonych braci na Polaków, Litwinów, Białorusinów lub Ukraińców. Wybrałyśmy osiem zjawisk według nas kluczowych, a dziś zapomnianych. Kto pamięta, że rodzony brat Gabriela Narutowicza, pierwszego polskiego prezydenta, był litewskim działaczem niepodległościowym? Dlaczego popełnił samobójstwo? Ta rodzina to symbol nie tylko rozejścia się losów Polski i Litwy, ale i rozejścia się pamięci historycznej – Gabriela znają Polacy, Stanisława Litwini.

Ważne zjawiska chcieliśmy pokazywać przez pryzmat losów jednostek, na przykład utratę przez Polskę po II wojnie światowej wielkiej ilości ważnych dóbr kultury pozostawionych w Wilnie i we Lwowie poprzez przypomnienie sylwetki hrabiego Wiktora Baworowskiego ze Lwowa, twórcy wielkiego zbioru książek i dokumentów dotyczących historii Rzeczypospolitej, przy tym dziwaka jeżdżącego po mieście powozem zaprzężonym w wielbłądy, który na koniec poderznął sobie gardło. A wymazywanie śladów polskości tego miasta poprzez tropienie zagadki Cmentarza Orłów we Lwowie – część grobów jest pusta, a ciała zniknęły w latach 70. Piszemy też o nieznannej szerszej publiczności zmianie granic między Polską a ZSRR w 1951 roku. Wraz ze złożami węgla do ZSRR trafiło pięć polskich miast, ich mieszkańcy musieli na żądanie Stalina porzucić swoje domy.

„Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP” to sugestywny reportaż, który obrazuje m.in. aspiracje rodzącej się Polski dwudziestolecia międzywojennego. Czytając utwór, łatwo przenieść się w klimat epoki. Skąd zainteresowanie właśnie tym okresem i jak udało się pozyskać materiały na tak skrupulatne wydawnictwo?

Agnieszka Rybak: „Wieża Eiffla nad Piną” wzięta się gdzieś z tych truskawek posyłanych prosto z Podola do Londynu. Chcieliśmy pokazać wysiłek, zarówno państwa polskiego, jak i osób prywatnych, włożony w odbudowę wschodnich województw zniszczonych dwiema wojnami: pierwszą światową i polsko-bolszewicką. Miało być nie o dworkach, ale o nowoczesnej fabryce pod Grodnem, kopalniach na Wołyniu, świetnej radiostacji w Wilnie. Nie o pannach w białych rękawiczkach, ale o inżynierach z Pińska.

Krok po kroku notowałyśmy intrygujące nas fakty: wielką, nowoczesną fabrykę sklejki pod Grodnem, produkującą na potrzeby lotnictwa (metr sześcienny sklejki kosztował 15 tysięcy złotych, a wyprodukowany z niej RWD-6 ze Żwirką i Wigurą na pokładzie wygrał wyścigi wokół Europy w 1933 roku). Wilno jako miasto radia – bo tu narodziły się literackie audycje radiowe i powstało pierwsze słuchowisko, także w Wilnie istniała największa krajowa fabryka radioodbiorników. Natknęłyśmy się też na fantastyczne zdjęcia portu wojennego w Pińsku, mieście do tej pory kojarzącym się nam z błotem i zacofaniem. Tymczasem właśnie tam na

deskach kreślarskich powstawały projekty tak innowacyjne, jak rzeczne monitory bezzałogowe! Górnicy w pióropuszcach na fotografii w starej gazecie okazali się pracownikami wielkiej kopalni bazaltu na Wołyniu, a nie śląskich kopalń.

Zainteresowanie zanikaniem, przeszłością bolesną dla wielu Polaków, która wpisuje się praktycznie w każdą rodzinę to materia trudna i często delikatna, a wręcz drażliwa. Mamy sentyment „[...] Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, / Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych; / Do tych pól mallowanych zbożem rozmaitem, / Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem [...]”. Czy właśnie idea ocalenia dla pamięci przyświeca podejmowanej przez panie tematyce oraz próba obiektywizacji subtelnych, acz złożonych wątków? A może wręcz przeciwnie – tworzą panie obraz subiektywny?

Anna Smółka: Chciałyśmy ocalić to, co zapomniane i opłakać to, co odeszło nieopłakane. Przecież tereny, które dzisiaj nazywamy Kresami, stanowiły połowę powierzchni II RP! Ile tam się działo! A wszystko to zostało objęte cenzurą po 1945 roku – a już szczególnie, jeśli było i kresowe, i kapitalistyczne. Z jednej strony, chciałyśmy przypomnieć kresowych Buddenbrooków, budowane przez nich osiedla robotnicze czy ogromne nakłady państwa na budowę dworców – w latach 20., często w formie inspirowanej renesansowymi ratuszami. Z drugiej strony, pokazać konsekwentne wymazywanie rzeczpospolitańskiej tradycji Kresów (która dostała nalepkę polskości) przez Rosję: od konfiskat majątków, pozbawiania szlachectw i wywozek w XIX wieku po planowe deportacje i mordy w XX wieku.

Dlatego po dyskusji zapadła decyzja: nie my będziemy głównymi bohaterkami – co było trochę wbrew stylistyce reportażu i obecnej modzie, ale ci, o których chcemy przywrócić pamięć. To requiem dla tego, co odeszło i tych, którzy odeszli.

Pandemia ukróciła na dłuższy czas turystykę. Ponadto wojna w Ukrainie niweczy możliwość podróżowania po wschodnich rubieżach dawnej Polski. Czy macie panie zebrany materiał na kolejny wspólny utwór i czy nadal tematyka będzie się odnosić do Kresów?

Agnieszka Rybak: Obie mamy zasadę, żeby mówić o tym, co napisane, bo wiemy, jak wiele w trakcie pracy nad książką potrafi się zmienić. Dlatego pozwolimy sobie zostawić to pytanie bez szczegółowej odpowiedzi.

ANNA SMÓŁKA: absolwentka Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego, autorka m.in. książki *Między wolnością a pokojem. Zarys historii Ruchu „Wolność i Pokój”*. Pracowała dla wielu instytucji kultury, w l. 2012-2016 była również doradczynią prezesa IPN.

AGNIESZKA RYBAK: dziennikarka, absolwentka Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Pracowała m.in. w „Newsweeku”, „Polityce”, „Rzeczpospolitej”. Autorka kilku wywiadów rzek, m.in. z Ludwikiem Dornem i Pawłem Dangelem.

O TYM DZIEDZICTWIE NIE MOŻEMY ZAPOMNIEĆ!



Z PROF. ELŻBIETĄ SKORUPSKĄ-RACZYŃSKĄ, REKTOR AKADEMII IM. JAKUBA Z PARADYŻA W GORZOWIE – AUTORKĄ KSIĄŻKI „ŻYDZI W POWIEŚCIACH WSPÓŁCZESNYCH ELIZY ORZESZKOWEJ (STUDIUM JĘZYKOWO-KULTUROWE)”, ROZMAWIA AGNIESZKA MOSKALUK

Pani profesor, czy to pandemia sprawiła, że miała pani wreszcie czas na pracę nad publikacją naukową i nad swoją ulubioną Orzeszkową?

Tak było. W czasie pandemii, kiedy byliśmy w całkowitej lub częściowej izolacji, ustało „towarzyskie” życie naukowe – zostały wstrzymane wyjazdy naukowe, spotkania, a konferencje odbywały się online. W tym czasie zarządzanie uczelnią stało się de facto jej administrowaniem. Dzięki temu mogłam przyspieszyć prace badawcze nad Orzeszkową, a właściwie nad obrazem Żydów w jej powieściach.

Pani publikacja ma charakter językoznawczy, ale także kulturoznawczy, społeczny...

To praca interdyscyplinarna, z wykorzystaniem metody kognitywnej, czyli takiej, która zachęca badacza, by wykorzystał wiedzę z zakresu nauk o społeczeństwie, psychologii, historii, a dotyczy ona Żydów w powieściach współczesnych Elizy Orzeszkowej. Jak zasygnalizowałam w podtytule – to studium językowo-kulturowe, w którym na podstawie języka badam, jak Orzeszkowa wykreowała obraz Żydów w polskim społeczeństwie na Kresach. Jest to też próba odpowiedzi na pytanie, jak mogło to wpływać na postrzeganie diaspory przez czytelników. Powieści Orzeszkowej były bardzo popularne w tamtym czasie. Drukowane w odcinkach

w czasopiśmie, docierały do szerokiego przekroju społeczeństwa. A słowo pisane ma to do siebie, że podprogowo wpływa na postrzeganie świata przez osobę, która zawsze ten świat będzie postrzegać przez pryzmat własnych doświadczeń.

Pani profesor! *Na początku było słowo!* Słowo kształtuje rzeczywistość.

To piękne podsumowanie. Słowo ma swoją moc. Przykładem mogą być stereotypy, które rodzą się bardzo szybko, a umierają powoli. Studentom przywołuję przykład moherowych beretów. To dość młody stereotyp, który w ciągu dostownie kilku miesięcy trwale przyłgnął do słuchaczek Radia Maryja. Jest silny i na długie lata z nami pozostanie, mimo że te ciepłe wełniane nakrycia głowy noszą nie tylko starsze panie słuchające określonej rozgłośni.

W przypadku różnic etnicznych czy wyznaniowych te stereotypy mogą być dużo bardziej bolesne. Staralam się pokazać, jak Orzeszkowa tą swoją językową kreacją próbuje walczyć z krzywdzącymi stereotypami, jak z powodzeniem zwraca uwagę na problemy, jakie dotyczą środowisk żydowskich i chrześcijańskich: co dzieje się na styku i jak można te problemy rozwiązać. Jak to określił mój zany kolega historyk – nie jest to praca poświęcona męczeństwu Żydów, tylko zwyktemu, prawdziwemu życiu Żydów w społeczności zróżnicowanej etnicznie, kulturowo i religijnie, w symbiozie bądź w konflikcie z innymi wyznaniami, lecz z możliwością pokonywania tych konfliktów.

Eliza Orzeszkowa pisała o ludziach i miejscach zanurzonych w wielokulturowości. Ta wielokulturowość była dla mieszkańców Kresów Wschodnich czymś bardzo naturalnym. Zło, ogień, nieszczęście – bardzo często pochodziły i były podsypane z zewnątrz.

Tak, zresztą ta wielokulturowość, nie tylko na Kresach Wschodnich, jest naszą specyfiką narodową. Położenie w samym sercu Europy i historia przemarszów przez terytorium Polski ze wschodu na zachód, z zachodu na wschód oraz z północy na południe i z południa na północ generowała takie, a nie inne skutki. Żydzi uciekali z zachodniej i południowej Europy w XII i XIII wieku i tu u nas się zatrzymywali. Przez kilka wieków mówiono, że była to li tylko ucieczka religijna, spowodowana represjami, choć pod koniec XIX wieku wskazywano też, że przyczyną mogły być również zwykłe migracje, tak charakterystyczne dla średniowiecza.

Tu, u nas, Żydzi znaleźli spokój, ale nie mógł on być gwarantowany raz na zawsze. Żydzi żyli niejako na uboczu, we wnętrzu swojej diaspory – po traumatycznych doświadczeniach nie asymilowali się, co nie było zbyt dobrze postrzegane. A że byli bardzo pracowici i zmyślni, zaczęli się dorabiać, a to budziło zawiść. Zaczęto z nimi walczyć. A przy okazji, jeśli dochodzi do niesnasek na tle finansowym, to chętnie wytyka się i inne różnice, np. wyznanie i odmienną obrzędowość.

To inność, której łatwo jest przypiąć łatkę.

Tak, łatwo jest to spersonalizować. Poza tym inność jest tym, czego nie akceptujemy. Akurat Eliza Orzeszkowa dość rzadko dotyka problematyki religijnej. To, czego dotyka, to problemy egzystencjalne, związane z wzajemnym szacunkiem. Pięknie to pokazuje w mniej znanej powieści „Eli Makower”. Eli to Żyd przyjaciel. Pochodzi z wielodzietnej rodziny – jest jednym z piętnaściorga rodzeństwa – dzieci ubogiego, bardzo bogobojnego krawca. Wychodzi z tej wielkiej biedy i ciężką pracą, krok po kroku – przy pomocy swoich współbraci w wierze – dochodzi do kolejnych etapów awansu społecznego. Na końcu zostaje charyzmatycznym Żydem, który pomaga innym, słabszym Żydom, ale też dostrzega w otoczeniu Polaka – szlachcica odpowiedzialnego za ojca, za rodzinę, któremu grozi upadek. Postanawia mu pomóc. Tak po ludzku. Dochodzi do nawiązania swoistej więzi. Eli proponuje szlachcicowi: ja panu pomogę w finansach, a pan mi pomoże w kulturze. To piękna wizja Elizy Orzeszkowej, która miała szansę się ziścić. I do takich sytuacji z pewnością dochodziło.

A która powieść urzekła panią profesor najbardziej?

Powieścią, która najbardziej mnie urzekła i uderzyła w serce, jest – ze względu na aspekt żydowski – „Pan Graba”. Tam występuje postać, którą uznają za Żyda syjonistę. Wielki patriota, który oddaje całe życie swojej nieistniejącej ojczyźnie. W języku powieści jest lichwiarzem – tak go nazywają Polacy, którzy u niego na własne życzenie się zapożyczają. A on gromadzony w ten sposób majątek chce oddać w końcu w ręce mądrych Żydów, by ci pobudowali dwie wielkie szkoły, dwie wielkie świątynie i odbudowali państwo Izrael. Jego nazwisko – Wigder, jest związane ze zwycięstwem i jest tutaj znaczące (zresztą, u Orzeszkowej każde słowo miało ogromne znaczenie). Według mnie, to jej trzecia powieść stricte współczesna – obok „Elego Makowera” i „Meira Ezołowicza”, gdzie Żyd jest bohaterem pierwszo-, drugoplanowym. Występuje równoległe do Graby i jest na końcu powieści zwycięzcą.

Pani profesor, dlaczego Eliza Orzeszkowa jest od wielu lat tak bliska pani naukowemu sercu?

Zakochałam się w niej w czasach licealnych, kiedy to w ramach lektur szkolnych „połknęłam” jednym tchem „Nad Niemnem”. Urzekł mnie język Elizy Orzeszkowej, ta piękna składnia, mądrość języka, prawda i szlachetność widzenia świata. Mocno utkwiała mi w pamięci, a kiedy obroniłam doktorat i już mogłam sama wybierać tematykę badań, oczywiście zajęłam się Orzeszkową. Mój pierwszy artykuł dotyczył funkcji barw w językowej kreacji postaci w „Nad Niemnem”. Badania pod hasłem językowa kreacja świata – można powiedzieć – wchodziły wtedy na salony językoznawcze. I poszło.



I idzie...

Badam Orzeszkową od lat. Jest to dorobek językowo genialny! Na przykład w „Nad Niemnem”, opisując przyrodę, Orzeszkowa poza nazwą barwa zielona, żadnej innej nie użyła dwukrotnie – był więc kolor czerwony, ale też purpurowy, krwisty, szkarłatny...

Była też niezwykle inteligentna i zaangażowana w ludzkie sprawy. Była pozytywistką, chciała emancypować, nieśamowicie głęboko w sercu leżała jej tematyka żydowska.

Dlaczego więc my dziś tak mało wiemy i tak mało doceniamy Orzeszkową?

Bo w „Nad Niemnem” są długie, nudne opisy przyrody! – mówię to oczywiście z przekąsem. Taka fama jednak kiedyś poszła i przyłgnęła do Orzeszkowej. A potem przyszli nowi twórcy, inne tematy... Faktycznie, proza Orzeszkowej nie jest łatwa, jej powieści to nie są „czytała”. „Cham” to przecież pierwsze w historii literatury polskiej studium psychologiczne, pokazujące piękną złożoność, a jednocześnie prostotę męskiego serca i umysłu. Potocznie, gwarowo, mężczyznę, który przygarnia i otacza opieką nieswoje dziecko, określano mianem wierzbowego ojca. I takiego wierzbowego ojca opisała Orzeszkowa właśnie w „Chamie”. To piękne studium, urzekające pod każdym względem.

Orzeszkowa w historii literatury naprawdę zapisała się jako twórczyni znacząca. To, że dwukrotnie była zgłoszona do Nagrody Nobla, też jest wymowne i świadczy o tym, że mamy do czynienia z dziedzictwem kultury i literatury, o którym zapomnieć nie możemy. A że ja jestem w tej twórczości i życiu Orzeszkowej zakochana, pozwalam sobie na powroty do niej i jednym z takich powrotów jest właśnie książka „Żydzi w powieściach współczesnych Elizy Orzeszkowej (Studium językowo-kulturowe)”.

I bardzo za to dziękuję!

Prof. ELŻBIETA SKORUPSKA-RACZYŃSKA: filolog, językoznawczyni, wykładowczyni akademicka. W l. 2011-2020 rektor PWSZ w Gorzowie, od 2020 – rektor Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie. Autorka wielu książek i publikacji naukowych. Poetka. Wydała pięć tomików poezji: „Nim dojdę” (1987), „W drodze” (1994), „Krople” (2005), „Niczysza” (2010) oraz „Klucze” (2018). Należy do ZLP.

NIEBOSKŁON PROWINCJONALNY

Roman Habdas

Urłopowy kwartał roku dopięty. Wspomnieniem sierpniowe roje gwiazd spadających wprost do błedzewskiego zalewu. Poranna mgła podchodzi trzcinyowy cyfel, a południowe słońce wyostrza babie lato muskające szczytówkę wędziska. Gdy chłód nieco dotkliwszy, ogrzewa mnie koza. Mleka nie daje, trawy nie skubie. Chłonie szczapy, wypuszcza dym. Wcześniej, kiedy koza była elementem pracy plastycznej Gąsiora, stał na niej w santockiej wieży „Anioł żarliwy” i miał twarz z duszy żelazka. Teraz koza dociepla barakowóz.

Emeryt w leśnym klimacie ma swój styl. Na głębokiej prowincji może założyć stare portki i połataną, ulubioną koszulę. Tam nikt przed nikim, nawet „pan” z Windsoru, księcia nie zgrywa. Ryby biorą wszystkim równo, czyli nie biorą. No, chyba że Andrzejowi, ale jemu zawsze. Wtedy sumując wyniki, mamy niezłą... sumową wyzerkę. Zadomowione do niedawna szopy pracze też jakby gdzieś, być może na jeszcze głębszą prowincję, uszły. Nielicznych ryb z siatek nie podkradały. Komary pozdychały. I, o zgrozo, ryby w Odrze. Oj, jak dobrze, że Obrą jeszcze żyje i Zalew Bledzewski. Nad nim moja posiadłość, której łatanie dzięki pierwszej emeryckiej trzynastce, o wiele łatwiejsze się stało. Tak, Windsorowi zafundowałem remont i „czwarta gwiazdka” przyznana. Miało to miejsce na miesiąc przed rojem sierpniowych Perseidów. Zawitał wówczas w skromne progi wiking, taki z krwi i kości rybak, armator kilku kutrów, mieszkaniec daleko na północ wysuniętej wyspy oblewanej wodami Morza Norweskiego. Na moim „wyszukanym łowisku” po raz drugi spędzał trzy wędkarskie dni. Łowił i wypuszczał drobiazg od świtu po zmierzchu. Niektóre rybki zabierał, sprawiał, a wieczorami zjadał się smażoną drobnicą, o płetwach chrupkich jak czipsy. W tych samych dniach mój brat z synem, prowincjusze z podpoznańskiej nieformalnej stolicy elegantów, przez dziesięć dni „ciągli” sztucznymi przynętami wodę w jeszcze bardziej na północ od miejsca zamieszkania wikinga wysuniętym fiordzie. I podobnie jak on w Polsce zjadali się, tyle że sprawionymi w filety czarniakami i rdzawcami, o egzotycznych molwach czy zębaczach nie wspominając. Istna wędkarska paranoja. Moi bliscy zapowiedzieli zaraz po powrocie, że za rok znowu nie odpuszczą sobie wyjazdu, tym razem na Nordkapp. Gdzie lodowcowe krajobrazy, kryształ wody, luksus w domku i bogactwo drapieżnych, ogromniastych ryb. A gorzowski teść wikinga, mój dobry kumpel, w odpowiedzi zadeklarował, że na przyszłoroczny windsorowy pobyt rezerwują z zięciem tydzień. I nie przeszkodzi im zieleń kwitnącej wody, kąpiel w miednicy oraz swoisty... smrodek wychodka. Wszystko za rok. Oby tylko powtarzane od wieczności ulubione przysłowie mojej mamy: *Człowiek myśli, a Pan Bóg... kryśli*, absolutnie się nie spełniło. Niech każdy ma swoje.

Temat wiodący przypila do przywołania raz jeszcze prowincji. Po doświadczeniach tegorocznego lata pozytywnie, jak dla mnie, wypadła Skwierzyna. Miasteczko częstych znad wody wypadów po brakujące produkty spożywcze i materiały niezbędne do przewrotu Windsoru nogami do góry, czyli remontu. Kilkakrotnie odwiedzałem market budowlany. Za pierwszym razem na pięć minut przed zamknięciem. I nieprawdopodobnie, nikt mnie nie przepędzał, pokazując tarczę zegarka. Kolejne wizyty potwierdziły, że pracujący w nim ludzie to nie tylko przystawione i adekwatne do nazwy obiektu mrówki. Załoga tworzy niebywały wzorzec godny naśladowania. Potężne gorzowskie placówki, choćby te vis-à-vis osiedla Europejskiego, mogą się od skwierzynian uczyć, jak powinno wygłądać zainteresowanie klientem i doradztwo.

Prowincja ma nieboskłon bardziej przejrzysty. Swoisty wielowymiarowy urok. Od targowiska, przez markety, po senność uliczki z prężącym grzbiet kotem i poduszkami w oknach. Czasami chciałbym jeszcze wejść do tamtej sprzed lat wielu gospody. Spojrzeć na podparte batami furmanów stoliki, poczuć kwaśny zapach piwa, spojrzeć do chłodziarki na plasty salcesonu i ozorki w auszpiku. Może we śnie...

ROMAN HADBAS: poeta, pisarz, felietonista „Pegaza Lubuskiego”. Członek ZLP. Wydał książki poetyckie: „W ramionach Drawy” (1995), „Żucie szczawiu” (2007) i „Z gliny ulepieni” (2009), „Stacje Drogi Krzyżowej” (2021). Ukazały się też powieści i zbiory opowiadań: „Mały Paryż” (2015), „Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie” (2017) oraz „Żgajoki i inne opowiadania” (2019). Jest wielkim miłośnikiem przyrody i wędkowania.



O PANNACH Z BRONOWIC I PANACH Z KRAKOWA

Anna Dominiak

W ostatnich latach Monika Śliwińska wydała dwie cenne dokumentacyjnie i potrzebne monografie: historię życia Marii, Zofii i Elizy Pareńskich („Muzy Młodej Polski” Warszawa 2014) oraz biografię Stanisława Wyspiańskiego („Dopóki starczy życia” Warszawa 2020). W swojej najnowszej, nominowanej do Nike, książce uwagę swoją koncentruje na losach unieśmiertelnionych przez Wyspiańskiego w „Weselu” bronowickich sióstr. Są to Anna, Maria i Jadwiga – córki Jacentego i Jadwigi Mikołajczyków spod Krakowa. Na podstawie zachowanych archiwaliów: listów, wspomnień, dokumentów udało się autorce odtworzyć nie tylko życiorysy portretowanych kobiet, ale także naszkicować obraz epoki – drobno-mieszczkańskiej rzeczywistości Krakowa, historii Galicji kilkanaście lat przed odzyskaniem niepodległości aż po koniec drugiej wojny światowej.

Mimo że od premiery „Wesela”, która wywołała prawdziwą sensację w mieszczańskim świątku Krakowa u progu XX wieku, minęło ponad 120 lat, a historia, ze względu na swoje związki ze znanymi postaciami z ówczesnego krakowskiego establishmentu, jest nader atrakcyjna, nikt jak dotąd nie zbadał kwestii od strony kobiet, od których wszystko bierze swój początek, które rozkochały w sobie dwóch czołowych krakowskich inteligentów tamtych czasów. Autorka w swojej książce nie tylko konfrontuje dokumentacyjną prawdę z sylwetkami tych kobiet, mgliście i złośliwie dotąd nakreślonych w głośniejszym „Plotce o Weselu” Tadeusza Boya-Żeleńskiego, ale także zderza ich portrety z literackim przetworzeniem w sztuce Wyspiańskiego. W ten sposób rewiduje utrwalone w szkolnych odczytaniach dramatu mity.

Książka rozpoczyna się od opisu topografii miejsca. Poznajemy nie tylko podkrakowskie Bronowice, ale także miejscowości przyległe. Ich szczególność upatruje autorka w tym, że „zbiera się tu energia z dwóch światów” – realnego i nierealnego (ludowa metafizyka), ale też chłopskiego i mieszczańskiego. Podkrakowskie Bronowice to wieś biedna, zacofana i przesądna. Żyje się tu bardzo ciężko. Tym bardziej zdumiewać mogły wybory ludzi takiego formatu jak Włodzimierz Tetmajer i Lucjan Rydel, którzy postanowili tu właśnie żyć. O tym właśnie jest ta książka – o kobietach, dla których Tetmajer i Rydel zdecydowali się podjąć trudy takiego właśnie życia. Czytamy o zmaganiach z niedostatkiem, zimnem, chorobami, ale też o szamotaninie między pełnionymi w inteligenckim świecie funkcjami, artystycznymi aspiracjami a zwyczajnym, siermiężnym życiem na wsi.

Przedstawione na ponad sześciuset stronach książki wydarzenia dzieją się w rozległej perspektywie czasowej. Jej początek to ostatnia dekada XIX wieku, a koniec

- lata 50. wieku XX. W pierwszym rozdziale, zaraz po opisie położenia, realiów topograficznych i społecznych Bronowic, przedstawia Śliwińska dokładną genealogię rodziny Mikołajczyków. Umieszcza rozstawioną przez Wyspiańskiego podkrakowską wieś wśród okolicznych osad, charakteryzuje pejzaż i zabudowania regionu. Mówi o wierzeniach, zwyczajach, przesądach, ubiorach, wyglądzie zabiedzonych domów, a nawet jadłospisie mieszkańców. Opowiada burzliwe historie chłopskich i inteligentkich rodzin. Mówi o szczególnych związkach Bronowic z Krakowem – nie tylko o tym, o czym pisał Boy – przynależności ich mieszkańców do parafii Maryi Panny w Krakowie, gdzie odbywały się chłopskie wesela, chrzciny, pogrzeby. Także o tym, jak bronowickie gospodynie sprzedawały swoje plony na krakowskim placu Szczepańskim, jak po znoju handlowego dnia zasiadały w kawiarni Heleny Zasadzkiej, by pokrzepić się kawą z rumem. Jak krzyżowały się krakowskie i bronowickie szlaki. Takich ciekawostek znajdujemy w tej książce mnóstwo.

„Kraków to małe świat. Promień wyznaczany z Sukiennic do krańca ulicy Karmelickiej jest trasą wydeptywaną o różnych porach dnia przez pantofelki pań, lakiarki panów, chłopskie buciory, buciki i boscie stopy. Droga z rogatki miejskiej przez Karmelicką i Szewską na Rynek liczy niewiele ponad kilometr, trzydzieści minut spacerem. Ot i wszystko”.

Autorka świetnie zindywidualizowała portrety głównych bohaterów. Każda z nich jest odrębna. Anna – racjonalna, trzeźwo myśląca, zaradna, poniekąd pełniąca rolę głowy rodziny w domu Tetmajerów (jej wizerunek Wyspiański oddał wizerunek, ale relacja Boya nie jest pozbawiona złośliwości). Tajemnicza i melancholijna, eteryczna, „naznaczona fatum śmierci” Maria oraz ta najbardziej w „Weselu” wyeksponowana – Jadwiga – radosna, ujmująca ciepłem, naturalna i skromna, wyjątkowo jednak narażona na zniewagi środowiska mieszczańskiego. Trudno się dziwić rozczarowaniu, jakie odczuwał Rydel, gdy na scenie krakowskiego teatru ujrzał – wzorowaną na postaci Jadwigi – wulgarną i nieokrzesaną chłopkę (z czasem jednak uzasadniona niechęć Rydla do Wyspiańskiego minęła i relacje przyjaciół wróciły do normy – o tym również dowiadujemy się z książki). Czytamy, z jaką niechęcią miasta miała początkowo do czynienia Jadwiga i z jakimi impertynencjami musiał się mierzyć Rydel. Na długie lata stali się przecież mimo woli krakowskimi celebrytami. Są tu też nakreślone inne kobiety – Pepa Singer – pierwowzór literackiej Racheli, ale także przodkinie, krewne, córki i wnuczki bohaterów. Wielu z tych postaci udziela Śliwińska głosu w swojej książce. Szczególnie często przywoływane są tu wspomnienia Heleny – wnuczki Rydlów.

Oczywiście, nie da się sylwetek Anny, Marii i Jadwigi przedstawić w oderwaniu od portretów ich cenionych w inteligentkim środowisku mężów. Stąd opisane tu rodowody i losy rodzin Tetmajera i Rydla, a także historia krótkiego życia Ludwika de Laveux – zmarłego na malarię narzeczonego Marii Mikołajczykówny.

Śliwińska wykazuje tu dar sugestywnego kreślenia postaci, nawet jeśli pojawiają się w książce na marginesie głównego wątku.

Pisarka burzy także utrwalony w szkolnych interpretacjach wizerunek Rydla – egzaltowanego chłopomana, który uległ modzie na inteligencko-chłopskie mariaże. Dowiadujemy się, że nie był on, jak w swojej anegdocie rozpowszechnił Boy, rozgadany filistrem, papierowym literatem w binoklach, którego do małżeństwa z chłopką popchnął kaprys i podatność na wpływ chłopomańskich trendów. Owszem, jego szwagier Włodzimierz Tetmajer trafił do Bronowic, bo był malarzem i jako artystę interesowały go wiejskie pejzaże. Ale jego związek z Anną nie był żadną podyktowaną modnym trendem fanaberią. Podobnie jak związek Rydla z najmłodszą z siostr – Jadwigą. Śliwińska pokazuje w swojej książce, że ich intencje wobec Mikołajczyków nie miały, jak się powszechnie sądzi, znamion młodopolskiej pozy. Poświadczyli to pełnym zaangażowaniem, nietatwym życiem, troską i odpowiedzialnością za losy swoich rodzin.

Pisarka wydobywa na jaw także kulisy relacji Wyspiańskiego z Rydlem i Tetmajerem, a także – co szczególnie interesujące – ujawnia szczegóły skandalu, który wybuchł po premierze spektaklu. Kraków jawi się tu jako miasto małe, ciasne i bardzo mieszczańskie.

Mocno obecna jest w tej książce także historia – wielka polityka, dwie wojny światowe, powojenne represje, które najokrutniej dotknęły zesłaną na Sybir, najstarszą z siostr Annę i jej córkę.

Stworzony przez Śliwińską portret ludzi i czasów wsparty jest na solidnym fundamencie badawczym – autorka, o czym wspomniano na wstępie – przekopła ogrom archiwaliów, dotarła do nietatwo dostępnych materiałów, bogatej korespondencji (w książce przytacza między innymi listy pisane przez Mikołajczyków z zachowaniem oryginalnej pisowni). Są tu wspomnienia, doniesienia prasowe, reprodukcje rękopisów. I wiele niepublikowanych dotąd fotografii. Mimo to biografistka tak konstruuje swoją opowieść, że nie gasi uroku tej historii nadmiarem faktograficznych detali (co można było odczuć przy lekturze jej poprzedniej książki o Wyspiańskim). Tym razem nie pozostawia czytelnika zagubionego w gąszczu zdarzeń. Dzięki literackiemu językowi i płynnej, przejrzystej narracji, książkę czyta się jak rodzinną sagę wmontowaną w plastyczne i żywe tło epoki.

Monika Śliwińska, „Panny z „Wesela”. Siostry Mikołajczyków i ich świat”, Kraków 2020

ANNA DOMINIAK: polonistka, recenzentka poezji i prozy, autorka wierszy. Publikuje na łamach ogólnopolskiej i lokalnej prasy literackiej. Pracuje w Liceum Ogólnokształcącym w Świebodzinie.

SZUKAM. ZNAJDUJĘ. PATRZĘ

Krystyna Zwolska

Tematem przewodnim wrześniowego numeru „Pegaza Lubuskiego” jest PROWINCJA. Cieszę się, że akurat w TYM numerze pojawiając się, bo... jestem typową kobietą z prowincji. Tu się urodziłam i mieszkam niemal 70 lat (z małą, półroczną przerwą). Uwielbiam tę swoją prowincję. Inne, duże miasta, ich estetyka, oczywiście zachwycają, ale kiedy wracam z dłuższego wypadu czy wycieczki i widzę przy drodze znak z napisem Gorzów Wlkp., wiem, że wracam do swojego świata. Nie ma we mnie kompleksu prowincji. Mam swoje marzenia, oczekiwania i pasje, które spełniam niezależnie od miejsca. Jedną z tych pasji jest fotografia uliczna. Niemniej, zanim mnie potknęła ulica, były i nadal przecież są próby zatrzymania w kadrze właściwie wszystkiego. Moje zdjęcia nie są profesjonalne, brakuje w nich dobrej techniki, ale w końcu fotografia stała się sztuką demokratyczną i może ją uprawiać każdy.

Dla mnie fotografia uliczna to czyste emocje, przełamywanie nieśmiałości i trochę takiej domorostej psychologii. Obserwując daną sytuację, trzeba przewidzieć, co stanie się za chwilę i czy to może stać się podstawą do zrobienia wyjątkowego ujęcia. No i ważna jest cierpliwość.

Po każdej ulicznej wyprawie wracam do domu i natychmiast wrzucam zdjęcia do komputera. Często zdarza się, że usuwam cały urobek, bo wszystkie foty są do niczego. Ale też zdarza się, że złapałam jakiś fajny moment. Takie zdjęcia wrzucam na różne strony internetowe zajmujące się fotografią uliczną. Zdarza się też, że znajdują uznanie w oczach innych, a w konsekwencji zostają wyróżnione... Wtedy jestem przeszczęśliwa!

Wciąż się uczę, a inspirują mnie fotografie uliczne najlepszych. Przy okazji oglądania fotografii klasyków ulicznych narodziła się miłość do fotografii czarno-białej. Zdecydowałam się na taką formę, bo w czarno-białej fotografii jest sporo miejsca na własną interpretację. Zwróćmy uwagę, że na takich zdjęciach widzimy głównie cienie, półcienie, kontury są bardziej zarysowane lub mniej. Zdjęcia kolorowe rozpraszają, skupiając wzrok na kolorach, barwach i ich nasyceniu. Zbyt dużo bodźców powoduje, że czasami nie potrafimy odnaleźć przekazu zdjęcia, a czarno-biała stwarza nastrój, często skrywa jakąś bliżej nieokreśloną tajemnicę, którą jedynie uważny oglądaczy potrafi zobaczyć, pozwala na bardziej głęboki odbiór, stworzenie odpowiedniego klimatu oraz odwzorowanie uczuć i emocji.

Często pytają mnie, które zdjęcie przez siebie wykonane lubię najbardziej, z którego jestem dumna? Póki co nie zrobiłam jeszcze takiego zdjęcia. A więc wszystko przede mną. I ta chęć zrobienia zdjęcia wyjątkowego motywuje mnie do wyjścia z domu nawet wtedy, kiedy zwyczajnie mi się nie chce.

Ulica jak rzeka pochtania
światła
kałuże
pijaka
strach
myśli

Przechowuje
tworzy skamieliny pamięci

O swoim czasie
otwiera blizny
oddaje zawartość
w zupełnie nieoczekiwanych miejscach

Pod
wiaduktem
studnią czarownic
tablicą z nekrologami
cmentarną kaplicą

Szukam
znajduję
patrzę
naciskam spust migawki



KWARTAŁ U HERBERTA (WYBÓR)

Magda Turska

SPOTKANIA AUTORSKIE

21 czerwca Biblioteka gościła pół-Białorusinkę, pół-Rosjankę, pedagożkę, autorkę książek i aktywistkę społeczną na rzecz Czechenów, Marinę Hulię. Z jej inicjatywy w 2016 r. na dworcu w Brześciu powstała szkoła demokratyczna dla czecheńskich dzieci. W Warszawie wolontariuszka stworzyła system wzajemnej pomocy. Pisarka wspomaga także wykluczonych, seniorów, a nawet zwierzaki ze schroniska. „Żeby zmienić troszkę świat nie potrzeba wielkich środków, czegoś kolosalnego, tylko wystarczy uśmiechnąć się i odrobinkę święta wykrzesać z siebie i swoich podopiecznych... to najpiękniejsze, co może być. Być wśród tych, których kochasz i którzy cię Kochają”. Te wiele mówiące słowa wskazują, jaki cel przyświeca Marinie w działaniach na rzecz innych, bardziej potrzebujących.

8 września okazał się wyjątkowy dla Biblioteki. W Sali im. Zdzisława Morawskiego na czytelników czekał Alfred Siatecki, a piętro wyżej odbył się wernisaż malarstwa Elwiry Tarkowskiej. Autor 40 książek przeniósł uczestników spotkania kilkadziesiąt lat wcześniej, gdy realia Polski całkowicie odbiegały od współczesnej rzeczywistości. Opowieść pisarza dopełniła celnymi pytaniami prowadząca Krystyna Kamińska. Zaś pretekstem do rozmowy była ostatnio wydana powieść A. Siateckiego pt. „Szwindel w Grünbergu”.

Z HISTORII REGIONU

(nagrania spotkań są dostępne na bibliotecznym kanale YouTube)

„RAMIONA ANTAJOSA. Z TEORII I HISTORII REGIONALIZMU LITERACKIEGO W POLSCE”

8 czerwca miłośnicy cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie” mieli okazję uczestniczyć w rozmowie profesor Małgorzaty Mikołajczak z profesor Katarzyną Taborską, która była moderatorką spotkania. Dyskusja toczyła się wokół nowo wydanej książki profesor Mikołajczak, która dodatkowo opowiedziała o badaniach nad regionalizmem w ramach projektu „Regionalizm w badaniach literackich: tradycja i nowe orientacje”, których była liderem.

AMERYKA W TWOJEJ BIBLIOTECE

Doktor Wolfgang D. Brylla, pracownik naukowy Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, gościł w Bibliotece 20 czerwca w ramach projektu „Ameryka w Twojej Bibliotece”. Naukowiec przedstawił kulisy kolarstwa szosowego w Stanach Zjednoczonych, które jest jednym z zainteresowań badawczych doktora oraz tematem kilku opracowań, opublikowanych na łamach wydawnictw regionalnych.

LUBUSKIE ROZMOWY U HERBERTA

„Lubuskie Rozmowy u Herberta” poprowadził dyrektor Biblioteki Sławomir Szenwald. Tym razem rozmawiano o kulturze w czasie wojny (tytuł odcinka „Kulturowy front – kultura w czasie wojny”), a gośćmi były profesor Beata Orłowska z Regionalnego Ośrodka Debaty Międzynarodowej, Polskiego Towarzystwa Historycznego Oddział Gorzów Wielkopolski i Olha Forhil, nauczycielka, działaczka kulturalna, oraz Marzena Wieczorek, która przeczytała wiersze powstałe po 24 lutego 2022 r.

WYSTAWY

Anna Wronka, kierowniczka Działu Zbiorów Specjalnych z Książnicy Kopernikańskiej w Toruniu, wygłosiła 5 lipca wykład „Dlaczego Kodeks Korwina powinien pozostać w Toruniu?” towarzyszący otwarciu wystawy pod tym samym tytułem. „Kodeks Korwina” to cymelium w polskich zbiorach i najcenniejszy manuskrypt w kolekcji Książnicy Kopernikańskiej, który znajduje się w Toruniu od XVI wieku. Wystawa była dostępna w holu Biblioteki do końca lipca.

2 sierpnia uroczyste otwarto w gmachu głównym Książnicy wystawę „Od Moraczewskiego do Mora-wieckiego. Premierzy Rzeczypospolitej Niepodległej 1918-2018”. Materiały udostępniono w holu Biblioteki na parterze.

VARIA

3 września zorganizowano w gmachu głównym piknik rodzinny połączony z Narodowym Czytaniem. Do czytania „Ballad i romansów” Adama Mickiewicza zaproszono Natalię Ślizowską, Agnieszkę Kopa-czyńską-Moskaluk, Agatę Sendecką, Ewę Pawlak i Annę Łaniewską. Panie wspierał dyrektor Książnicy Sławomir Szenwald. Oprawą muzyczną zajęli się Dawid Gigoła. W patio najmłodszy mieli możliwość wziąć udział w grach i zabawach oraz ciekawych animacjach plastycznych.



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim

Gorzowska
promocja książki

Zofii Mąkosy
„Makowa spódnica. Siostry”
Tom 2

Prowadzenie:
Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

4 października 2022 r.
godzina 17.00
sala 110

8. Zdzisław



Dofinansowanie
ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
podlegających
z Funduszu Promocji Kultury

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim

V GORZOWSKA HERBERTIADA

pt. „Herbertowski sens podróży”

28 października (piątek) 2022 r.

gmach WIMBP, ul. Sikorskiego 107
(wejście od ul. Kosynierów Gdynskich)

PROGRAM:

„Herbert w podróży” - warsztaty dla młodzieży
(liczba miejsc ograniczona, obowiązują zapisy, nr tel. 95 727 70 70)
- prowadzenie **Aneta Gizińska-Hwozdyk** - godz. 10.00
sala 110

„Pan Cogito w Gorzowie” - gra mobilna dla młodzieży
(liczba miejsc ograniczona, obowiązują zapisy, nr tel. 95 727 70 70)
- prowadzenie **Klaudia Makasów** - godz. 11.00
hol

„Herbert na Akropolu. Podróż do źródeł cywilizacji i podróż w głąb siebie”
- wykład **prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak** - godz. 17.00
sala 102

„Kołatka” - spektakl poetycko-muzyczny oparty na wierszach Herberta
w wykonaniu **Andrzeja Mastalerza** - aktora Teatru Polskiego w Warszawie
i **Marty Wągrockiej** - aktorki, wokalistki, absolwentki Wydziału Wokalno-Aktorskiego
Akademii Muzycznej w Gdańsku - godz. 18.00
sala 102